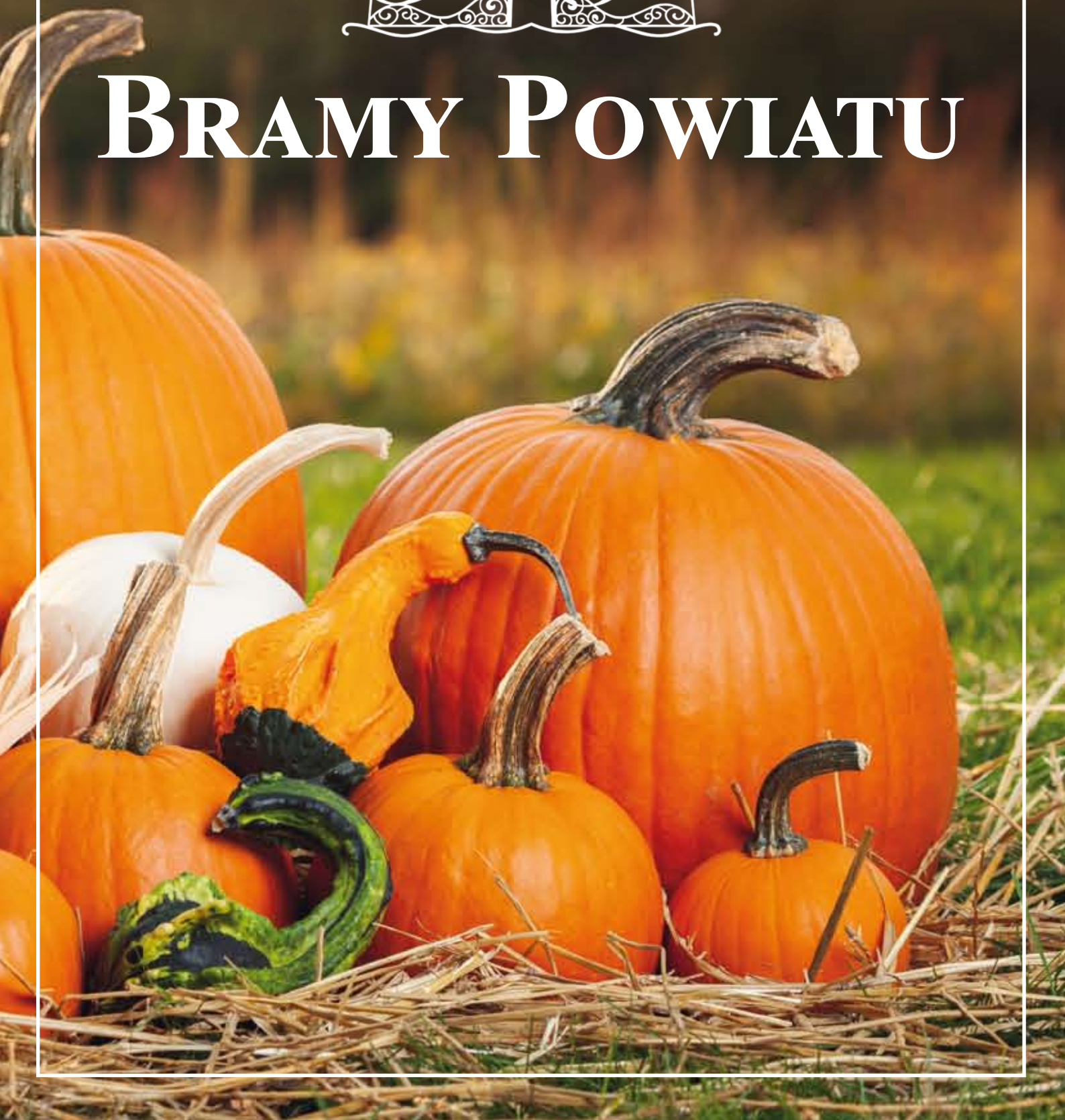




# BRAMY POWIATU



# BRAMY POWIATU

KWARTALNIK NR 3(14)

CIECHANÓW 2022



**Barbara Bielasta** - emerytowana bibliotekarka, regionalistka, absolwentka Instytutu Bibliotekoznawstwa i Informatyki Naukowej Uniwersytetu Warszawskiego. Była pracownikiem Powiatowej Biblioteki Publicznej w Ciechanowie. Autorka książek i artykułów o tematyce regionalnej, głównie historycznej, w czasopiśmie naukowych i prasie lokalnej.

**Ks. kanonik Jarosław Arbat** – absolwent Wyższego Seminarium Duchownego w Płocku, od 2012 r. proboszcz parafii pw. św. Zygmunta w Opinogórze.



**Grażyna Czerwińska** – absolwentka etnografii na UW, pracownik Wydziału Promocji i Polityki Społecznej w Starostwie Powiatowym w Ciechanowie.

**Dr Tomasz Czerwiński** – etnograf, Szkoła Główna Turystyki i Hotelarstwa Vistula w Warszawie.



**Ewa Gładysz** – koordynator Powiatowego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Ciechanowie.

**Marzena Janina Kowalik** – od 40 lat mieszka w Gdańsku, ale jej serce nigdy nie wyjechało z Północnego Mazowsza. Poszukiwaczka i kolekcjonerka „rodowych sreber, oczarowana poźółką fotografią”.



#### **Wydawca:**

Starostwo Powiatowe w Ciechanowie  
ul. 17 Stycznia 7, 06-400 Ciechanów  
[www.ciechanow.powiat.pl](http://www.ciechanow.powiat.pl)  
ISSN 2657-7615

#### **Skład i druk:**

Drukarz Sp.j.  
ul. Towarowa 2, 06-400 Ciechanów  
tel.: 23 672 71 12; [www.drukarz.net.pl](http://www.drukarz.net.pl)

## SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI.....	5
<i>Grażyna Czerwińska</i> Z KART HISTORII.....	6
<i>Ks. Jarosław Arbat</i> POCZĄTKI PARAFII ŚW. ZYGMUNTA W OPINOGÓRZE .....	8
<i>Barbara Bielasta</i> SZULMIERZ - HISTORIA, LUDZIE I... LITERATURA.....	11
<i>Marżena Janina Kowalik</i> OBLICZE BELLONY NA SKRAWKU PÓŁNOCNEGO MAZOWSZA (1914-1918).....	20
<i>Ewa Gładysz</i> CIECHANOWSCY SENIORZY WSPOMINAJĄ.....	31
<i>Tomasz Czerwiński</i> Z ETNOGRAFICZNEJ TEKI ZEBY TAK SYR BUŁ, JAK MASŁA NI MA .....	39





## **OD REDAKCJI**

*Otwieramy nasze Bramy, tym razem w jesiennej oprawie, ale jak zwykle pełne historii i wspomnień.*

*W tym numerze przypominamy bolesne dla naszych przodków wydarzenia z różnych lat, w tym z czasów wojny zwanej Wielką. Ta i następna nawałnica wojenna były źródłem wyboru drogi zawodowej wielu ludzi, również pierwszych decyzji życiowych i zawodowych naszego bohatera, którymi się podzielił na łamach Bram.*

*Na stronach kwartalnika przywołujemy mało znaną historię kościoła i parafii opinogórskiej, jej ścisłe związki z ciechanowską farą oraz duchownych, którzy tam posługiwali.*

*Miejscowości naszego Powiatu, które często bezrefleksyjnie mijamy, potrafią skrywać wiele tajemnic i historii, które warto poznać. Jedną z takich miejscowości jest niewątpliwie Szulmierz w Gminie Regimin. Zachęcam do poznania dziejów właścicieli majątku i ich odbicia w literaturze polskiej.*

*Otwieramy kolejne Bramy dla naszych mieszkańców, a cieszący się coraz większym zainteresowaniem nasz Kwartalnik to zwrócenie uwagi, jak ważne jest budowanie tożsamości lokalnej poprzez poznawanie historii, tej najbliższej...*

*Życzę Państwu dobrej lektury...*

*Starosta Ciechanowski*

# Z kart historii



Nader smutną dla licznych Przyjaciół otrzymaliśmy wiadomość, że Bruno Hrabia Kiciński znakomity Literat i Poeta, Tłumacz Przemian Owidjusza, Autor kilku dzieł scenicznych, należący dawniej do wydawania różnych pism czasowych, pełen cnót, w nocy z 22 na 23 b.m. przeniósł się do wieczności w dobrach dziedzicznych Ojrzeniu w Guberni Płockiej; żył lat tylko 48.

(*Kurier Warszawski nr 83, 1844*)



O tegorocznych urodzajach w okolicach Ciechanowa dochodzą nas bardzo dobre wieści. Żyto i pszenica tak obrodziły, jak dawno tam nie pamiętają. Jęczmiona i grochy także bardzo ładne, a tylko owies w niektórych miejscach liche. Za to koniczyny bujnie wyrosły, a buraków, których tam sadzą dużo do cukrowni, spodziewają się bardzo obfitego zbioru.

(*Gazeta Świąteczna nr 29, 1884*)



Śmierć w ogniu. W Opinogórze Górnej w okolicach miasta Ciechanowa spaliła się obora. W oborze niektórzy z czeladzi folwarczej mieli pościel swoją oraz bieliznę i inne rzeczy w skrzynkach. Aby to ratować, parobek

Stanisław Klimkowski wpadł do palącego się budynku; ale płomienie go ogarnęły i biedak w ogniu życie zakończył.

(*Gazeta Świąteczna nr 4, 1886*)



Apteka wiejska ma być w tych dniach założona we wsi Głinojecku w powiecie Ciechanowskim gub. Płockiej. Pozwolenie władz na otwarcie tej apteki już otrzymano.

(*Gazeta Świąteczna nr 47, 1887*)



Ś.p. Ksiądz Hipolit Waśniewski kanonik honorowy diecezji płockiej zmarł przed tygodniem w Warszawie. Otrzymał święcenia kapłańskie w 1833 roku, pracował najprzód jako kapłan w Opinogórze a później w Lekowie, gdzie doczekał się przed dwoma laty jubileuszu. Na tem probostwie bardzo wiele dobrego czynił dla swej parafii. Założył tam szkołkę i własnym kosztem utrzymywał w niej nauczyciela, wykorzenił w parafii pijaństwo, odnowił kościół, a jako rolnik na folwarku swoim w Regininie prowadził wzorowe gospodarstwo. Ówczesne Towarzystwo Rolnicze mianowało go swoim członkiem w 1860 roku, a b. Komisja Spraw Wewnętrznych powołała go do rady opiekuńczej zakładów dobroczynnych w pow. przasnyskim.

(*Gazeta Świąteczna nr 44, 1888*)



Władza naukowa zezwoliła na otwarcie dwuklasowej szkoły ogólnej pod kierownictwem Anieli Karpińskiej w Ciechanowie.

(*Gazeta Świąteczna nr 1, 1892*)



Co z tych będzie? We wsi kościelnej w Pałukach w pow. ciechanowskim zebrało się raz

w wieczór jesienny kilku chłopaków do karczmy. Podpiwszy sobie zaczęli się kłócić, aż w końcu przyszło do bójki. Ksiądz proboszcz słysząc ich krzyki bał się, żeby nie było jakiego nieszczęścia, kazał więc kościelnemu iść do pobliskiej wsi Bogucina i wezwać sołtysa. Ledwie kościelny wyszedł z domu, jeden z pijaków zastępuje mu drogę i pyta: „A dokąd to?” Kościelny powiedział, że idzie do Bogucina za własnym interesem. Ale opój widać domyślił się prawdy, bo rzucił w niego dwa razy kamieniem tak celnie, że raz po raz w głowę go uderzył. Kościelny stracił przytomność i upadł w rów przydrożny, przy czym jeszcze gorzej się potłukł. Nie wiadomo, jak długo tam leżał. Wreszcie odzyskawszy przytomność wrócił do plebanii przez sad, bo się bał iść koło karczmy. Miał on głowę w dwóch miejscach tak mocno stłuczoną, że półtora miesiąca w łóżku przeleżał, a przez kilka dni nawet poruszyć się nie mógł.

(*Gazeta Świąteczna nr 10, 1892*)



W Ciechanowie w guberni płockiej nie znać powierzchownie śladów wojny, okolice jednak są bardzo spustoszone. Wsie zostały bądź w części zburzone, bądź całkowicie zniszczone przez ogień, na polach wszędzie pełno mogił, w lasach i ogrodach dużo drzew połamanych, miejscami życie zupełnie zamarło. Liczne dawniej w tych stronach cegielnie znikły zupełnie. Ludzie znajdują teraz najłatwiej zarobek przy naprawie dróg: pracuje przy tej robocie mnóstwo mężczyzn i kobiet, zarabiając po 3 marki dziennie.

(*Gazeta Świąteczna nr 1, 1916*)



Dowództwo oddziałów odsieczy Lwowa w Warszawie poczuwa się do miłego obowiązku złożenia wobec całego kraju podziękia Ciechanowskiemu Komitetowi obrony kresów, jego przewodniczącemu W. Żurawskiemu oraz wszystkim członkom i ofiarodawcom za hojne

dary przysłane w rzeczach i pieniądzach dla polskich żołnierzy walczących pod Lwowem. Przesłano następujące rzeczy: 100 poduszek z siana, 55 poduszek z pierza, 869 koszul, 162 pary kalesonów, 103 prześcieradła, 4 kołdry, 614 ręczników, 104 sienniki, 1216 różnych części bielizny i ubrania, 2 łóżka żelazne, worek mąki pszennej, a nadto pieniędzmi 14 tysięcy i 871 marek 80 fen., 310 rubli 74 kop. i 15 koron. Zebrano też 48 bochenków chleba, które odstąpiono polskiej komendzie uzupełnień w Ciechanowie, ponieważ chleb zepsułby się podczas długiej podróży do Lwowa. W zbiorce uczestniczyły: cukrownia ciechanowska, miasto Ciechanów z przedmieściami i gminy: Nużewo, Sońsk, Ojrzeń, Zalesie, Gołymín, Regimin, Bartoły, Młock, Grudusk i Opinogóra. Imieniem żołnierzy oraz imieniem ich zaszczytnej służby dla całości i przyszłości naszej ukochanej Ojczyzny wyrażam wszystkim ofiarodawcom gorące podziękowanie i cześć. Pułkownik Skrzyński.

(*Gazeta Świąteczna nr 11, 1919*)



Ciechanów dał kapitalny przykład samoobrony; wyrzucił bolszewików jeszcze przed przybyciem naszych wojsk. Było to przed tygodniem. Kiedy w sobotę mieszkańcy miasta usłyszeli dalekie odgłosy strzałów, wówczas zmówili się i w niedzielę obsadzili miasto dookoła. Uczyli to ludność miejska do spółki z ustanowioną przez bolszewików milicją, z której znaczny odsetek stanowili sympatycy komunizmu. Kiedy zaczęto ostrzeliwać załogę bolszewicką, wtedy wojska sowieckie chciały się wycofać z miasta, ale na wszystkich drogach wyjazdowych natrafiono na powstańców. Wobec tego załoga poddała się ludności. Gdy nasza kawaleria przybyła do Ciechanowa w południe, zastała już miasto oswobodzone od bolszewików. (*Gazeta Poranna nr 216, 1920*)

Wybrała Grażyna Czerwińska



# POCZĄTKI PARAFII ŚW. ZYGMUNTA W OPINOGÓRZE



Opinogóra, choć od roku 1822 posiadała własną świątynię, nie zawsze była samodzielną parafią. Początkowo była filią (córką) kościoła farnego w Ciechanowie i jak to bywa z dziećmi, musiało upłynąć sporo czasu do usamodzielnienia. Pierwszy kościół pobudowano w Opinogórze w 1822 roku, dziesięć lat po przegranej wojnie cesarza Francuzów Napoleona Bonaparte z carem Rosji Aleksandrem I. Kampanię rosyjską w gruncie rzeczy (wielu tak uważa) wygrał „generał mróz” – mrózna zima. Wycofujące się oddziały francuskie wygłodniałe, zdziesiątkowane i zmarznięte przedstawiały smutny widok. Grabiły też wszystko, co poprawiało ich sytuację. Niedawni niezwycześni wracali odziani w kradzione łachmany, a także kradzione z kościołów szaty liturgiczne. Z niszczeniem świątyń nie mieli zresztą większego kłopotu natury moralnej

czy religijnej. Byli to przecież spadkobiercy idei rewolucji francuskiej, która pragnęła jak wszystkie rewolucje zniszczyć religię i Kościół (do dziś wszystkie kościoły francuskie sprzed rewolucji są własnością państwa francuskiego, zarekwirowane przez władze zakazujące wówczas jakiegokolwiek kultu religijnego, mordujące księży i osoby zakonne).

Przykładem takiego podejścia była fara ciechanowska. Opis powizytacyjny z 1 lipca 1817 roku stwierdzał: *Za przybyciem wojsk francuskich w początku 1807 roku wszystko, oprócz murów, wewnątrz kościoła spalone i w niwecz obrócone zostało, albowiem toż wojsko czyli komisarz wojskowy w tym kościele murując sześć pieców pomiędzy filarami kościoła intus do wypieków chleba dla wojska w czasie zimowym, wszystkie ołtarze, ławki, ambonę, chrzcielnicę, posadzkę i co tylko być mogło drewnianego spalił przy takowym*

*murowaniu, kościół tylko cudem Boga pozostał ponieważ ogień w kościele po kilku miesiącach palony sufitu drewnianego dosięgał. Mury jednak tego kościoła są dobre. No cóż, taka to była Francja – elegancja!*

Dzieła odbudowania ciechanowskiej fary podjęli się (a któż by inny!) proboszcz z kolatorem. Byli to wówczas ks. Rajmund Bagiński i generał (ironią losu francuski) hrabia Wincenty Krasiński. *Dachu tylko nowego potrzeba, na którego wystawienie Jaśnie Wielmożny generał hrabia Krasiński dóbr opinogórskich pan dziedziczny, którego wsie znajdowały się w parafii ciechanowskiej, widząc ten wspaniały kościół za bytności swojej w Ciechanowie, łaskawie zaoferował złotych 6000 i drzewa z borów swoich blisko Ciechanowa będących co trzeba, którego tak wielkiej ofiarności dowód na piśmie uczyniony przez niego załączam na końcu niniejszego opisu i taki drugi Komisji Wojewódzkiej przesyłam* zapisał wizytator. Wyremontowaną świątynię konsekrował w czasie wizytacji i bierzmowania (między innymi syna Wincentego – Zygmunta Krasińskiego) biskup płocki Michał Prażmowski.

Pełna szacunki znajomość z ówczesnym włodarzem diecezji zapewne ośmieliła hrabiego do samodzielnego wybudowania kościoła w Opinogórze, rodowej siedzibie. O fakcie tym poinformował biskupa Prażmowskiego pismem z 20 października 1820 roku: *Postawiłem wielkim kosztem kościółek przy domie opinogórskim, jednocześnie prosił Ekscelencję o przydzielenie wikariusza mieszkającego na miejscu, zależnego od proboszcza ciechanowskiego i mającego sprawować duszpasterską opiekę nad mieszkańcami wsi. Hrabia sugerował również: Czernice, Kąty, Dźbonie, Rąbież są daleko bliższe Ciechanowa niż Pałuk, gdzie dzisiaj jest parafia; sądziłem iż mógłbym prosić Jaśnie Oświeconego Pasterza o przyłączenie tych gruntów do parafii ciechanowskiej, na której kościół tyle włożyłem – delikatnie przypominał o swoich*

*zasługach generał, zaznaczając skromnie Nie dla własnego interesu, ale przekonawszy się iż ledwie dziesiąta część ludu uczęszcza do kościoła parafialnego dla odległości zbyt dalekiego miejsca, taki ekspens przedsięwzięciem i ośmielałem się do podania mej prośby.*

Sprawa powstania filii opinogórskiej rozpoczęła się prawnie. Biskup wysłuchał i polecił konsultacje z wszystkimi zainteresowanymi w sprawie Konsystorzowi pułtuskiemu (konsystorz to coś w rodzaju kurii, a dlaczego nie plockiemu tylko pułtuskiemu - bo przez wieki siedzibą biskupów plockich był Pułtusk. Tu znajdował się zamek biskupi, a nawet pierwsze seminarium duchowne). Konsystorz zlecił sprawę dziekanowi przasnyskiemu, ten zwołał zebranie w domu opinogórskim. Zjechali się zainteresowani: dziekan przasnyski ks. Stanisław Smoliński, hrabia Wincenty Krasiński, proboszcz i dziekan ciechanowski Romuald Bagiński, zabrakło tylko proboszcza pałuckiego Józefa Freszkowskiego, który bojąc się utraty dochodów z mających być odłączonych od jego parafii wiosek najpierw nie wprost, a ogródkami oponował: *Półtora włóki gruntu ofiarowane dla księdza – niepodobieństwem jest, aby się kapłan podług stanu swego mógł utrzymać, gdyż nie będzie miał więcej gruntu od włościanina, grunty w dodatku na Rąbieżu są zbyt oddalone, a stąd trudność w prowadzeniu gospodarstwa dobrego odstręczać będzie każdego kapłana dobrze myślącego od przyjęcia obowiązków kapelana opinogórskiego.*

Problem ten hrabia starał się rozwiązać: *Na utrzymanie przy tej kaplicy wiecznymi czasy przeznaczam fundusz: gruntu w trzech polach obejmujących półtora włóki miary chełmińskiej (włoka czyli 30 mórg około 16,7 hektara) na Rąbieżu z zasiewem ozimym i jarym. Dom, stodołę, stajnię, chlew wystawię. Na ogród do warzywa mórg roli także miary chełmińskiej przy kaplicy wyznaczony, wołów parę jedną, koni roboczych*



*parę jedną, krów dwie, na opał drzewa fur pięćdziesiąt wiecznie przeznaczam. Starczenie światła, wina, aparatów, bielizny na siebie i sukcesorów przyjmuję obowiązek. Nadto generał zapewniał: we dworze mieszkanie i stół w moim domu mu (kapelanowi) ofiaruję.* To jednak nie zakończyło protestów proboszcza pałuckiego żalącego się, że sam ma kościół w opłakanym stanie, trzeba będzie nowy murować a tak dobre wioski są mu odbierane.

Po wielu protestach i innych perypetiach wreszcie udało się sporządzić protokół dotyczący stanu prawnego filii opinogórskiej, podpisany 6 kwietnia 1864 roku. Orzekał on, że wsie: Opinogóra Hrabska (Górna), Opinogóra Szlachecka (Dolna), Czernice, Kąty, Rąbież i Bacze przynależą być do kościoła w Opinogórze. Zatwierdził ten stan rzeczy biskup Michał Prażmowski: *Na mocy pisma erekcyjnego z 18 października 1822 roku przez nas wydanego, kaplicę w posiadłości Opinogóra Hrabska Wincentego Korwin Krasieńskiego od podstaw własnymi środkami zbudowanej tytuł kościoła filialnego dla kościoła macierzystego ciechanowskiego.* Dnia 22 czerwca 1824 roku w imieniu cesarza Aleksandra I zatwierdził ten akt Namiestnik Królewski w Radzie Stanu, Józef Zajaczek.

Opinogóra zatem pozostawała filią zależną od proboszcza ciechanowskiego. Stan taki trwał aż do upadku powstania styczniowego. W czasie jego trwania proboszcz ciechanowski Józef

Kwiatkowski 7 stycznia 1864 roku zrzekł się administrowania Opinogóra, później tym bardziej proboszcz ciechanowski nie był zainteresowany troską o swoją filię. Na mocy dekretu carskiego za pomoc powstańcom ziemie będące dotąd uposażeniem probostw zostały zajęte przez państwo (parafiom pozostawiono tylko 6 mórg) – w zamian przeznaczając pensje od 500 do 300 rubli rocznie. Nie była to zbyt wygórowana suma. Cóż mieli zatem robić kolatorzy Władysław i Róża z Potockich Krasieńscy? Wyjednali u władz kościelnych i państwowych zmianę statusu świątyni opinogórskiej z kościoła filialnego na parafialny. I tak, dnia 4 lipca 1866 roku Opinogóra stała się samodzielną parafią.

W czasie istnienia filii opinogórskiej jej komendantami byli: ks. Franciszek Cymerman (1825–1825), ks. Łukasz Karniewski (1825–1831), ks. Franciszek Krzykowski (1831–1833), ks. Hipolit Waśniewski (1833–1836), ks. Józef Kwiatkowski (1836–1849), ks. Marceł Olszewski (1849–1855), ks. Aleksander Budny (1855–1858), ks. Henryk Gawroński (1858–1862), ks. Franciszek Rogoziński (1862–1863) (za pomoc powstańcom wywieziony na Sybir) i ks. Paulin Kwiatkowski (1864–1865). Pierwszym w pełni proboszczem Opinogóry był ks. Antoni Miecznikowski (1865–1884). Za jego rządów staraniem Róży z Potockich Krasieńskiej (wypełniając testament Wincetego Krasieńskiego) w roku 1874 przebudowano kościół do stanu obecnego. Wcześniej był ośmiokątną rotundą z kaplicami: górną i dolną oraz nawą, dobudowaną z drewna dla wiernych.

*Ks. Jarosław Arbat*

Przygotowałem ten krótki zarys początków parafii w Opinogórze, opierając się na książce ks. Profesora Michała Mariana Grzybowskiego, który kilka lat temu zechciał pochylić się nad historią naszej parafii - za co serdecznie Mu dziękujemy.

# SZULMIERZ - HISTORIA, LUDZIE I.. LITERATURA

Jedną z ciekawszych wsi powiatu ciechanowskiego, za sprawą ludzi, którzy w niej mieszkali i ją opisywali jest Szulmierz. Czytelnikowi kojarzy się zapewne z Żeromskim i rodziną Cyprysińskich, ale te dwa nazwiska nie zamykają listy osób wartych wspomnienia.

Pisana historia Szulmierza datuje się od 1423 r., kiedy pojawił się o nim zapis w Metryce Księstwa Mazowieckiego. Pomijając późniejsze rozdrobnienie własności, władanie rodu Radzymińskich vel Radzimińskich, dojdziemy do końca XVIII w., kiedy szulmierskie włości objął Antoni Nosarzewski. Należał do znaczących gospodarzy w powiecie przasnyskim. Jego nazwisko jako jedno z niewielu wymienił podprefekt tegoż powiatu F. S. Zieliński w swoim opracowaniu „Obraz statystyczny powiatu przasnyskiego...”, tak go charakteryzując: *... nie tylko dobry rolnik, ale nadto mający gust w budowie, przeto wioski jego a szczególnie folwark Szulmierz są dobrze zabudowane – w tym zaś ostatnim zacząwszy od domu mieszkalnego aż do gumiennych budynków, wszystkie fundamentalnie budowane. Stado pięknych koni, owiec gromady i przyjemny oraz intratny ogród są to owoce jego przemysłu, które w tej wiosce widzieć można.* Wymieniony został w czołówce hodowców wołów i owiec w powiecie oraz jako dobrze zapowiadający się hodowca koni. Zmarł w 1839 r. nie pozostawiwszy testamentu, co spowodowało spore zamieszanie w rodzinie.

Antoni Nosarzewski ożeniony z Franciszką Jackowską miał trzech synów i cztery córki. Wszyscy, poza Adamem, przyszli na świat w Szulmierzu. Najbarwniejszą postacią w rodzinie był najstarszy z braci Adam Erazm, urodzony w 1788 r. Służył jako pruski junkier, brał udział w wojnie napoleońskiej. Gdy

opuścił szeregi wojskowe w randze pułkownika, pierwsze miejsce w jego życiu zajął hazard. Po śmierci ojca prowadził z siostrą Antoniną Jabłonowską zaciekle spór o sukcesję. Po procesie spadkowym przejął około 1843 r. na własność Szulmierz z przyległościami: Kalisz, Kozdroje, Radzymin, Włosty, Włodki, część Kotermania i Trzciankę. Perypetie majątkowe rodzeństwa opisał po latach Ludwik Romocki - wnuk Leokadii, siostrzenicy Adama i Antoniny. Romocki był jednym z kilku literatów, którzy Szulmierz uczynili tłem swoich utworów. W dwóch opowiadaniach: „Zielona papuga” i „Ostatni zajazd na Mazowszu” nie tylko barwnie i z humorem przedstawił samą postać pułkownika, ale przede wszystkim opisał - na wzór Mickiewicza - zajazd na Szulmierz. Jedyną jego ofiarą stała się... papuga, pupilka pana Adama, którą Jabłonowski kazał nazajutrz oskubaną posłać szwagrowi *na rosolek*. Autor odnotowuje jednakże, że Nosarzewski doczekał się jeszcze satysfakcji - śmierci szwagra, któremu skomponował epitafium:

*Tu spoczywa z łaski Boskiej  
Mój szwagierek Jabłonowski,  
Co nakoniec, ległszy w grobie,  
Dał spokojność mnie i sobie.*

Żadne znane dokumenty nie potwierdzają, by w Szulmierzu miały miejsce wydarzenia opisane przez Romockiego, można jednak przyjąć, że mimo różnych nieścisłości są prawdziwe, choć literacko ubarwione. Jako gospodarz Adam Nosarzewski nie bardzo przejmował się odziedziczonym majątkiem. Zajmowali się nim dzierżawcy, z którymi spisywano szczegółowe umowy. Na przykład Józef Wyczliński i Maciej Szczepankowski - dzierżawcy od 1847 r. - mieli płacić właścicielowi 2250 rubli rocznie,



Goście przed dworem w Szulmierzu, 1902 r.;  
ze zbiorów Archiwum Mościckich na Jasnej Górze

nie mogli domagać się postawienia żadnych nowych budowli czy reperacji istniejących, zobowiązani byli za to swoim kosztem utrzymywać ogród oraz *Słomy i gnoju za granicę Dóbr wywozić niewolno* im było.

Adam Nosarzewski zmarł w 1864 r. w Warszawie, został pochowany na Powązkach. Jego dobra na mocy testamentu spisane w 1863 r. odziedziczyli potomkowie siostry Elżbiety z Nosarzewskich Romockiej. Szulmierz z przyległościami przypadł czworgu dzieci siostrzenicy: Antoniemu, Julii, Augustowi i Marii Cyprysińskim. Ich rodzice Leokadia i Antoni już nie żyli, więc z racji młodego wieku zajmowała się nimi siostra ojca – Ludwika Sajkiewicz, prawdopodobnie jedyna bliska krewna. Rodzeństwo Cyprysińskich dziedziczyło też inne dobra po rodzicach (choćby pobliski Koziczyn). W Szulmierzu osiadł najstarszy Antoni, urodzony w 1840 r. Poznajemy go dość dobrze dzięki zapisom Stefana Żeromskiego, który przebywał jako korepetytor we dworze latem 1887 r. Cały swój pobyt, przeżycia i spostrzeżenia opisał w „Dziennikach”. Znalazły się tam zarówno uwagi na temat dworu, jego mieszkańców i gości, bliższej i dalszej okolicy oraz przejmujące opisy przyrody.

Cyprysiński dość energicznie zabrał się do gospodarowania. Był do tego dobrze przygotowany, co zauważył młody Żeromski. Pisał on:



Plac tenisowy w Szulmierzu, 1902 r.,  
ze zbiorów Archiwum Mościckich na Jasnej Górze

*Pan C. jest człowiekiem cywilizowanym i inteligentnym [...] mówi znakomicie po francusku, dobrze po niemiecku, bez błędu po polsku. Pan C. ukończył Instytut w Puławach, był we Włoszech, w Niemczech – no i w Paryżu. [...] Pan C. dyskutuje o bilu karnym angielskim z równą łatwością jak o melioracjach rolnych lub stosunkach towarzyskich. Pan C. jest w zasadzie republikaninem, nie lubi Niemców [...], jest doskonałym typem bogatego ziemianina, który mógłby być z równą łatwością urzędnikiem. Tego jednak nie potrzebuje, gdyż ma 60 włók przepysznej ziemi, 5 folwarków, lasu włók 30, załatwione serwituty, zresztą pałacyk w Szulmierzu. Trzyma „Kuriera Codziennego” i „Mond[e] Illustré. Przedsięwzięcia męża wspierała zapewne żona Wanda, o której Żeromski pisał: Jest dobrą gospodynią, grzeczną dla otaczających, próżną cokolwiek – wszystkiego w miarę. Antoni i Wanda byli rodzicami czwórki dzieci: Kazimierza, Augusta, Włodzimierza i Antoniny. To z dwoma starszymi Żeromski prowadził lekcje.*

Wspomniany „pałacyk” czyli do dziś istniejący dwór postawił Cyprysiński w 1874 roku, niewątpliwie na miejscu starego, należącego niegdyś do Nosarzewskich. To budynek parterowy, zbudowany z cegły i otynkowany. Nosi cechy neogotyku i neorenesansu. Jeszcze w latach 80. XX w. przed piętrowym ryzalitem o trójkątnym szczycie znajdował się portyk

złożony z czterech żeliwnych kolumn, podtrzymujących taras na wysokości pierwszego piętra. Obecnie pozostały tylko kolumny. Na taras wychodziły trzy okna z pokoju zajmowanego niegdyś przez Stefana Żeromskiego. Z tyłu budynku zachował się otwarty taras. W lewy ryzalit dworu wmontowano medalion z datą 1874, a nad gankiem – monogram ACW, utworzony z pierwszych liter imion i nazwiska: Antoni, Wanda Cyprysińscy. W obecnym wyglądzie dworu łatwo można odnaleźć ślady dawnej świetności. Zmieniły się za to wnętrza. Te z 1887 r. opisał szczegółowo Stefan Żeromski w „Dziennikach”. Była tam sień, wielka sala jadalna, zmieniająca się wraz z przyjazdem gości. Stał w niej olbrzymi stół, na którym ustawiano srebra i ogromny wazon z kwiatami. Dalej mieścił się gabinet pana Cyprysińskiego, salonik będący jednocześnie biblioteką, gdzie na fortepianie grał wieczorami gospodarz. Obok jadalnego znajdował się niewielki pokójk nauczycielski z zielonymi storami, w którym wisiał obraz „Zygmunt August w Lublinie” (reprodukcja „Unii Lubelskiej” Matejki). Z sieni prowadziło wejście do pokoju dziecinnego i wąski poprzeczny korytarzyk do pawilonu, gdzie na pięterku mieszkała – przyciągająca męskie spojrzenia – *panienka*. Żeromski zajmował pokój nad sienią, dzielił go z panem Retmańskim.

W domu zatrudniano dwie guwernantki, pannę służącą, kucharza, pokojówkę, gospodynię, ogrodników, ekonoma, rządcę, furmana i Żyda - dzierżawcę ogrodu. Żeromski zauważał wielkopańskie maniery arystokracji, przejawiające się chociażby w używaniu języka francuskiego i niemieckiego, dlatego dla kontrastu, pisząc o służbie, podkreślał: *Z częstego używania wyrazu „psiakrew” wnoszę, że nie mówią ani językiem Wiktora Hugo, ani Goethego.*

We dworze przebywali też goście. Gdyby nie późniejsze wyjazdy, można by uznać ich

za rezydentów. Były to 59-letnia ciocia Olcia, *staruszka [...] o prześlicznej powierzchowności, dobrym wyrazie twarzy, bez zdania, uprzejma i nader miła* oraz 34-letnia panna Maria G., która *mówi tak wiele, tak szybko, tak przekonywująco, że jest najzupełniej podobną do... Telimeny.*

Ciocia Olcia - czyli

Olimpia Gąsiorowska była stryjeczną siostrą Antoniego Cyprysińskiego, drugą - po swojej siostrze Irenie, matce Marii - żoną Wacława Gąsiorowskiego. Żeromski najwięcej uznania miał dla Retmańskiego, z którym dzielił pokój, a który przebywał tu na letnim wypoczynku. Pan Wojciech Retmański – staruszek siedemdziesięcioletni był zapewne przyjacielem rodziny - historyk, łacinnik, adiunkt w Głównym Archiwum Królestwa Polskiego, doskonały znawca Warszawy, człowiek ogromnej wiedzy, którą starał się przekazać studentowi. Dostrzegał też jego potrzeby. Kupował papierosy, załatwiał posłańca, który niósł list na pocztę, podsuwał lektury.

Szulmierz odwiedzali sąsiedzi i inni krewni gospodarzy. Wśród gości chwilowo bawiących we dworze autor wymieniał dwóch panów Romockich z Poznańskiego, których nazywał *nieglupimi Niemczykami*, umiającymi rozsądnie rozmawiać na różne tematy. To siostrzeńcy pana Antoniego. Jednym z nich był wspomniany wcześniej Ludwik Romocki. Spośród sąsiadów w gościnę przyjeżdżali Łepkowscy z Wyszyn. Żeromski tak ich charakteryzował: *Pan Ł. jest wysokim mężczyzną lat pod 60. Szpakowate, zsuwające się na czoło włosy, takaż broda i te rysy wspaniałe, szlachetne, piękne, rozumne – dadzą się*



Kazimierz Zahuski,  
ze zbiorów Stanisława  
Zahuskiego



*Szulmierz, Jan Zahuski z wnukiem Stanisławem,  
ze zbiorów Stanisława Zahuskiego*

*odróżnić w największym tłumie. Siostra jego jest kobietą mniej więcej pięćdziesięcioletnią. Niewypowiedziane piękno jest w tej twarzy. Siwe włosy okalają czoło rozumne, spokojne. To kobieta rozumna i inteligentna. Tak, inteligentna! Tego taktu, harmonii w każdym geście, uprzejmości w każdym spojrzeniu, taktu w każdym niemal spojrzeniu – nie nabywa się. To rodem idzie. Ona nie popisywała się francuszczyzną, nie makaronizowała zdań, choć mówi tym językiem ślicznie. W spojrzeniach jej znać uprzejmość i godność. Mówi wiele – rozumnie. Łepkowski odwiedził później Szulmierz jeszcze raz, ale z synem i Karolem Majewskim, studentem prawa w Petersburgu, który właśnie wrócił z Paryża. Łebkowsky z Wyszyn byli bliskimi znajomymi gospodarzy, gdyż siostrą Wandy Cyprysińskiej była Franciszka Łebkowska z pobliskiego Pawłowa, zamężna za bratem powyższych.*

*Z niedalekiego Kotermania przybywali panowie Milewscy, z Niestumia - Włodek,*

*z Opinogóry Dolnej - sędzia gminny Drewnowski – autor i wydawca *Katechizmu dla moich synów* oraz tajemniczy pan Turowski, najpewniej dzierżawca Lekowa. Największe emocje w obserwatorze budziły wizyty państwa Dembowskich z Przedwojewa, a to ze względu na obecność ich osiemnastoletniej - jak przypuszczał Żeromski - córki Eleonory. *Ojciec jej – pan całą gębą, nie bywa nigdzie, rzadko kogo przyjmuje i, jak mówią w okolicy, nigdy mu przez myśl nie przeszło, że córka jego mogłaby wyjść za mąż...* Ta okazała się wesołym, pewnym siebie, życzliwym ludziom, serdecznym i szczerym jak złoto „koleżką”. Oczarowała ona młodego studenta mazurkami Chopina. Odtąd nie raz wyglądał w stronę Przedwojewa. Panna Eleonora tymczasem liczyła sobie już ponad 26 lat, niecały rok później wyszła za mąż za 43-letniego Józefa Łempickiego - dziedzica Małuzyna.*

*Żeromski chętnie przebywał wśród gości, rozmawiał, słuchał i obserwował. Domowników i ich gości zaliczał do arystokracji rodowej, obywatelskiej, od której jego – zwykłego szlachcica – dzieliła przepaść. Jednocześnie podkreślał, że to, co zobaczył i o czym dyskutował, w niczym go nie zmieniło i obiecywał: *Kiedys – te nieocenione nabytki odzwierciedle (!) w powieści. Jeśli opiszę salon w Szulmierzu – to opiszę salon w ogóle.* Porządek dnia był z góry ustalony. Wpół do dziewiątej domownicy jedli śniadanie. Od dziewiątej przez cztery godziny trwały lekcje (przynajmniej dla korepetytora i jego uczniów). O dwunastej dzwonek zwoływał służbę folwarczną na obiad. O pierwszej dzwonek w przedpokoju dawał sygnał do stołu dla towarzystwa. Poobiednia kawa o piątej to cały rytuał. Wypijano jej bardzo dużo, prowadząc niekończące się rozmowy. Kolacja wyznaczona była na siódmą i też ciągnęła się w nieskończoność. Korepetytor chodził spać wcześniej, najpóźniej o dziewiątej.*

Dwór w Szulmierzu otaczał rozległy park krajobrazowy ze szpalerami grabów, lip i okazami innych starych drzew, założony w drugiej połowie XIX w., zajmujący powierzchnię 2,8 ha. Tu już zmiany są kolosalne w stosunku do tego, co zaobserwował i opisał Żeromski: *Pałac tonie w olbrzymich drzewach ogrodu. Z zieleni tej wylania się czerwony dach i zarysy tej ładnej, świeżej budowli. Pałacyk składa się z dwu skrzydeł parterowych, pośrodku których wznosi się piętro z dużym balkonem. Na balkon ten wychodzą trzy duże okna z naszego (z p. Remańskiego) pokoju. Przed pałacykiem rozciąga się szeroki dziedziniec, pośrodku którego leży równa elipsa gazonu, otoczonego dzikim winem. Gazon obiega podjazdowa droga. Po bokach leżą śliczne, w dywan ułożone trawniki z zaroślami świerków, kasztanów, bżów, klonów. Cały dziedziniec otoczyły w czworobok zasadzone – wielkie kasztany. Po drugiej stronie pałacu ciągnie się szeroki taras. Na nim leży wielki dywan kwiatów. Poniżej tarasu ciągnie się ogromny ogród; przecinają go cztery baseny wody, idące wzdłuż ogrodu, przecinające go w poprzek – umyślnie, by stworzyć obfitość białych, filigranowych, rzeźbionych, wypukłych mostków. I idą długie aleje lip, klonów, dębów, świerków, wiązów, kasztanów, morw, akacji. [...] Tu i owdzie tulą się w głębi żywopłotów, w cieniu kasztanów, w ramionach zrósłych lip – białe, z brzozy plecione ławeczki, kanapki, stoliki, zaciszne krzeselka i kozetki.*

Żeromski przebywał głównie w domu i parku, czasem wychodził dalej, przemierzał okolicę notując spostrzeżenia. Szulmierz otacza z jednej strony szerokim półkolem las, odległy od dworu o kilkadziesiąt kroków. Jest to las brzozowy, zjawisko spotkane przeze mnie po raz pierwszy. Nieopisane wrażenie sprawia ta masa płaczących brzoź! - pisał. Nieco dalej, z drugiej strony, na wprost drogi dojazdowej do dworu bieleła się, widoczna z okien pokoju Żeromskiego, figura Matki Bożej. Według ustnych przekazów ufundowana



Grób Cyprysieńskich na Powązkach, Warszawa,  
fot. Barbara Bielasta

została przez dziedziczkę Cyprysieńską, która napisała przy okazji list do Ojca Świętego z prośbą o błogosławieństwo dla wioski. Mieszkańcy są przekonani, że to błogosławieństwo działało jeszcze w czasie ostatniej wojny, gdyż w samej wsi nikt nie zginął, choć oczywiście miały miejsce zgony osób, które z różnych względów znalazły się poza Szulmierzem. Figura otoczona opieką miejscowych parafian stoi do dziś. W jej pobliżu było ulubione miejsce przyszłego pisarza - dąbrowa. Tu odpoczywał, rozmyślał i... spoglądał w stronę Przedwojewa. *Urocze to miejsce, panujące daleko nad okolicą. Wzgórek ten otaczają ze wszystkich stron lany zboża. Wierzchołek tylko jego okrywa wspomniany gaj. Składa on się ze stu co najwyżej wielkich dębów. Wygląda on jak wspaniały bukiet zasadzony wśród pół ręką olbrzymia. Ze wzgórzka widać było całą okolicę: kościół w Koziczynku, piętrowy pałac w Lipie (który później okaże się śpichlerzem) i Opinogórę z grobem Zygmunta Krasieńskiego.*





Kazimierz Cyprysiński,  
ze zbiorów Andrzeja  
Łebkowskiego

Od strony Koziczyna zaś ciągnął się Krogul – las, w którym na jednym pagórku rosły dęby, na drugim graby, w dolince – sosny, a *dalej same dziewczynobrzozy na wzgórkach, jak w panińskiej świetlicy – szeptają a chichoczą [...]*.

Dziś na miejscu

opisanego gaju rośnie mocno nadwerżony zębem czasu, jedyny z tego lasu dąb szypułkowy „Stefan” – pomnik przyrody. Drzewo ma 21 m wysokości i 320 cm obwodu. W 1965 r. Gromadzka Rada Narodowa w Szulmierzu nadała mu imię i ustawiła tabliczkę z napisem: *Dąb „Stefan” – ostatni z dąbrowy opisanej przez Żeromskiego w Dziennikach*. Od wielu lat tabliczki jednak nie ma.

W *Dziennikach* Żeromskiego najmniej informacji mamy o samej wiosce, z opłotkami prowadzącymi do lasu i chłopskimi chałupami. Wsie tutejsze autor porównywał do mikroskopijnych miasteczek. *Domy najrozmaitszej struktury idą w różne strony, nie tworzą ulicy, lecz mają zadęcie tworzenia rynku. Chłopa od mieszczanina trudno odróżnić*. Mieszkańcy wiosek nie nosili narodowych strojów, tylko ubierali się w tandetne



Szulmierz, dwór w latach 30.,  
ze zbiorów Stanisława Żaturskiego

spódnice i *warszawskie* surduty. Ci chłopcy ze śpiewem przyszli do dworu, gdy skończono żąć pszenicę, aby świętować „wieńcowe”. Domownicy stanęli na werandzie, niektóre panie były zgorszzone przyśpiewkami. Gospodarz nagroził śpiewaków i grajków dwoma rublami, co wywołało niejakie zdziwienie naszego obserwatora. Ogólnie podkreślał, że *lud tu pracowity, trzeźwy, uczciwy. Na całą parafię Koziczyn jest dwie karczmy. Pijak jest tutaj grzesznikiem, wyjątkiem, publicznie znaną osobistością*.

Lekcje, rozmowy, wycieczki, ciche i spokojne życie, jakie w Szulmierzu wiódł Żeromski, obfitowało w liczne obserwacje. Mnożyły się notatki. Dwór, goście, domownicy, park, wieś i wszędobylska przyroda. Ptaki, kwiaty, drzewa, wiekowe dęby i białe brzozy, pochylony nad wodą olbrzymi świerk, żółte wilgi, swojskie wróble na balustradzie balkonu, upał, deszcz, wicher – to wszystko silnie przemawiało do wrażliwej duszy pisarza. Sześć tygodni spokojnego, wiejskiego życia szybko minęło. Autor dziennika zwierzał się: *Nie było dnia, w którym nie doznałbym jakiejś przyjemności, i nie było dnia, abym doznał smutku, aby mię spotkało nieszczęście. Obecnie jest mi tak dobrze!*. Powtarzał to wielokrotnie w czasie swego pobytu w Szulmierzu. Przez cały czas odczuwał jednak swoją samotność. Rodzice już nie żyli. Z zazdrością patrzył na szczęśliwą rodzinę gospodarzy, na matkę pochylającą się nad chorym synem. Żal było wyjeżdżać.

Echa tego pobytu odnajdziemy na kartach jego późniejszych utworów. Czytelna jest nowelka „Zapomnienie”. To w Szulmierzu był autor świadkiem błagania chłopki o łaskę u pana. Spaliła się chałupa i stodoła, trzeba je odbudować. Jej mąż został przyłapany na kradzieży drewna w lesie, musi iść do kryminału. To dla rodziny tragedia. Dziedzic pozostaje nieugięty. Postać goszczącego w Szulmierzu Retmańskiego odnajdziemy w osobie kasjera

Rzepakowskiego z opowiadania „Niedobitek”. Niewykluczone też, że to właśnie tutaj Żeromski słyszał opowieści o potyczkach powstańczych, które opisał później w utworze „Rozdzióbia nas kruki, wrony!”. Towarzyskie pogawędki i atmosferę szulmierskiego dworu przeniósł do Nawłoci w powieści „Przedwiośnie”. Rozdarta sosna w „Ludziach bezdomnych” przypomina sugestywne opisy burz z szulmierskich „Dzienników”, mimo że autor nie pisze w nich, by w okolicy spotkał uszkodzone przez piorun drzewo.

Szulmierz pozostał w rękach Antoniego Cyprysińskiego do jego śmierci w 1910 r. W tym roku zmarła też jego żona Wanda. Oboje pochowano na Powązkach. Dobra szulmierskie ulegały odtąd stopniowemu zmniejszaniu. W 1920 r. Cyprysińscy: Kazimierz zamieszkały w pobliskim Pawłowie, August - w Dziegielewie w sierpeckiem, Włodzimierz - w Szulmierzu i u krewnych oraz Antonina Działowska w Kołudze Małej koło Inowrocławia ostatecznie sprzedali resztę majątku Janowi Załuskiemu z Czarnocinka. Zanim Załuscy osiedli na dobre w Szulmierzu, musieli uciekać przed bolszewikami. Dwór szulmierski, tak jak inne w okolicy, został obrabowany. Najdotkliwiej Załuscy odczuli zniszczenie biblioteki liczącej kilka tysięcy książek oraz zbioru fotografii, dokumentów rodzinnych i korespondencji. Jan Załuski herbu Junosza był radcą Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie, później prezesem Dyrekcji Głównej tego Towarzystwa. W Szulmierzu osiadł pod koniec życia i gospodarował z synem Kazimierzem. Miał nadzieję unowocześnić gospodarstwo. Zakupił angielską lokomobilę, wydrenował pola. Niestety, kryzys światowy 1929 r. oraz trudna sytuacja, w jakiej polskie rolnictwo znajdowało się aż do 1937 r. niekorzystnie odbiły się na szulmierskim gospodarstwie. Załuscy musieli rozparcelować część majątku.

Jan Załuski zmarł w 1933 r. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Koziczynku, obok spoczęła żona Mieczysława, zmarła w 1935 r. Majątek odziedziczył jedyny syn Kazimierz Roch Załuski, urodzony w 1890 r. w Czarnocinku. Był bardzo wesołym i towarzyskim kompanem, mile widzianym we dworach ziemiańskich. Ożenił się w 1928 r. z Ireną Piotrowską, córką Stanisława i Jadwigi, właścicieli majątku Koziczyn. Miał z nią jednego syna – Stanisława, który wiele lat później spisał rodzinne wspomnienia w książce „Wygnanie z Arkadii”. Dysponując zapiskami ojca i prowadząc od 1938 r. własny dziennik, przekazał czytelnikom obszerną i wnikliwą relację obejmującą dzieje rodziny oraz opisy wydarzeń, których był świadkiem, począwszy od lat poprzedzających wybuch II wojny światowej aż do opuszczenia Szulmierza w 1945 r.

Stanisław Załuski dokładnie scharakteryzował rodziców, członków bliższej i dalszej rodziny oraz służbę, opisał dwór, majątek, prace polowe. Nie zabrakło zapisków dotyczących różnych atrakcji zajmujących chłopca, np. strażackiego śmigusa-dyngusa, przeprowadzania lokomobili do miejsc obróbki drewna, wyrębu drzew, bójki na chłopskim weselu, wyjazdów do pobliskiego Ciechanowa, Warszawy czy nad morze. W jego relacji we dworze: [...] *od frontu znajdowały się reprezentacyjne pokoje: salon i jadalnia – każdy*



Szulmierz, figura Matki Boskiej, fot. B. Bielasta



Antonina I voto Działyńska  
II voto Donimirska, ze zbiorów  
Wiesława Winklera

z nich o powierzchni 66 metrów kwadratowych, oraz gabinet Ojca, z tyłu szereg sypialni: Babki, Dziadka (dopóki żył), mój, w którym sypiałem z nianią, Rodziców, rządcy. Był jeszcze mniejszy salon z werandą, z której schodzi-

ło się wprost do parku. Pokoje tzw. gościnne znajdowały się na piętrze. Po stronie zachodniej korytarz łączył budynek główny z murowaną oficyną, zwaną przez mieszkańców wsi spichlerzem. Tam mieściła się kuchnia, ubikacja, pokoje służbowe, 2 spichlerze i wozówka, w której trzymano powóz i karetę. Tu też znajdowała się mleczarnia – dół z wodą, do którego wstawiano bańki z mlekiem, aby je schłodzić.

Podstawą szulmierskiego gospodarstwa była hodowla bydła i świń. Najlepsze ziemie przeznaczono pod uprawę buraków cukrowych, kontraktowanych przez ciechanowską cukrownię. Na słabszych glebach siano żyto i owies, ponadto koniczynę, lucernę, saradę oraz kukurydzę. Eksploatowano też torf. W gospodarstwie pracowały młockarnia, sieczkarnia, siewniki, pługi, kultywatory. Do prac w polu dziedzic zatrudniał robotników, z których każdy opiekował się czwórką koni. Do pracy przychodzili oni najczęściej z dwoma parobkami, tzw. posyłką, były to zazwyczaj dorastające dzieci lub członkowie dalszej rodziny. Robotnicy dostawali pensję oraz ordynarię, czyli zapłatę w naturze. Mieli prawo hodować dwie krowy, trzodę chlewną i drób, dostawali przydomowy ogródek i ziemię pod uprawę ziemniaków.

Objęci byli opieką medyczną. Koszty leczenia obciążały dziedzica.

Kazimierz Załuski zajmował się nie tylko gospodarstwem, w czym pomagał mu od 1929 r. rządcą Chojnacki. Należał też do Związku Ziemian, w Szulmierzu współtworzył Ochotniczą Straż Pożarną, był w radzie nadzorczej ciechanowskiej mleczarni, angażował się w działalność 7-klasowej szkoły powszechnej. Wszelkie działania społeczne, oświatowe i inne w Szulmierzu przerwał wybuch II wojny światowej. Najbardziej odczuli to właściciele majątku i mieszkańcy związani z nimi zależnością służbową. Dziecięce zapiski pozwoliły Załuskiemu odtworzyć wydarzenia tamtych lat z niezwykłą precyzją. Czytelnicy poznają więc kolejnych verwalterów, administratorów zarządzających nie tylko Szulmierzem, ale i okolicznymi majątkami, losy wielu ziemiańskich rodzin tak jak Załuscy wyrzucanych z domów, zmuszanych do pracy we własnych gospodarstwach w roli ekonomów i buchalterów. Życie w ciągłym strachu przed donosicielami, aresztowaniem, wywózką, ale i z nadzieją na nadejście upragnionych wojsk alianckich i rychłe wyzwolenie cechowało codzienną egzystencję. Pod koniec wojny doszła obawa przed Armią Czerwoną. Ziemianie mieli ciągle w pamięci wydarzenia 1920 r. i okrutne traktowanie przez bolszewików. Wyzwolenie, mimo ogromnej ilości wojsk niemieckich i rosyjskich, nalotów i pożarów, powitano z radością.

Służba folwarczna z nadzieją, a dziedzice z obawą oczekiwali realizacji zapowiadanej reformy rolnej. Spełniły się najczarniejsze obawy tych drugich. Konieczność opuszczenia gminy, a następnie powiatu dla rodziny Załuskich oznaczała wygnanie z rodzinnej „Arkadii”. Echa szulmierskich przeżyć Stanisława Załuskiego można odnaleźć w jego opowiadaniach i powieściach, bo jak się okazało - na dobre zajął się literaturą. Do nich należy choćby opowiadanie



Ludwik Romocki,  
fot. z książki: *Romocki L.:  
Mazowsze. Warszawa,  
Wydawnictwa Kasy  
Przezorności i Pomocy  
Warszawskich Pomocników  
Księgarskich, 1913 r.*

„Kotesan”. Autor opisuje przeżycia z okresu mieszkania na folwarku tartackim w czasie wojny (obecnie teren leśniczówki w Szulmierzu), wnikliwie analizuje własną psychikę i stara się zrozumieć postępowanie rodziców. Tytułowy Kotesan był psem Załuskich, zastrzelonym przez niemieckich żandarmów zamieszkujących w szulmierskim

dworze. Stało się tak na prośbę dziedzica, który obawiał się, by w razie wysiedlenia właścicieli wierne zwierzę nie zostało zwykłym psem podwórzowym. Dla mieszkańców ciechanowskiego sympatycznie brzmią historyczne nazwiska: Sulimirski i Kozdrój, które autor nadał w opowiadaniu postaciom drugoplanowym.

Wśród utworów Załuskiego czytelników powinna zainteresować jeszcze wydana w 1982 r. powieść „Szukanie jutra”. Tuż po jej opublikowaniu niewiele osób mogło się domyślić, że książka jest literackim przetworzeniem szulmierskich przeżyć autora, jego rodziców, krewnych i znajomych, tym bardziej, że te szczegóły z biografii ze zrozumiałych względów głęboko ukrywał. Zastanawiały być może swojsko brzmiące nazwy niektórych miejscowości: Niebożyn (w taki sposób zapisywany), Kliczki, Krzynowłoga... Lektura „Wygnań z Arkadii” pomogła rozszyfrować zagadkę. W postaciach Włodka, Eustachego czy Haliny czytelnicy odnajdą samego autora i jego

rodziców, a Niebożyn to niewątpliwie ich rodzinny Szulmierz. Inne nazwy geograficzne są mniej czytelne. Na charakter i losy pozostałych bohaterów, a częściowo i Kossewinów, składają się w dużym stopniu prawdziwe przeżycia wielu innych osób, w tym wydarzenia, które dotknęły sąsiadów i znajomych Załuskich. Akcja powieści rozgrywa się w ciągu kilku pierwszych miesięcy 1945 r., ale przemyślenia bohaterów dotyczą wydarzeń wcześniejszych, a liczne sceny są jakby żywcem wyjęte z później opublikowanych wspomnień. Realizacja reformy rolnej, działalność oddziałów partyzanckich i walka z podziemiem, problemy nowej władzy, a przede wszystkim przeżycia ziemian - klasy społecznej, którą postanowiono unicestwić, są głównymi tematami podejmowanymi w powieści.

W 2014 r. Stanisław Załuski jeszcze raz powrócił do swoich wspomnień. Przeredagował „Szukanie jutra”, pozostawiając te same postaci i ich przeżycia, ale dodał – do i tak obszernej książki – drugą część, czyli dalsze losy bohaterów. Powstała powieść „W cieniu tyrana”. I wspomnienia opublikowane w 2006 r., i ich literackie przetworzenie z 1982 i 2014 r. łączą jedno – dramat ludzi wypędzonych ze swoich domów, pozbawionych nieraz z dnia na dzień dorobku życia, ludzi „wygnanych z Arkadii”. Nie dziwi zatem, że Załuski podjął w 1989 r. próbę dotarcia do tych osób, ujawnienia ich pochodzenia, dotąd skrzętnie ukrywanego, ponownego zintegrowania środowiska. Stał się inicjatorem powołania Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego. Na Zjeździe Założycielskim w Warszawie we wrześniu 1990 r. został wybrany prezesem honorowym.

*Barbara Bielasta*

Więcej informacji o Szulmierzu w książkach autorki: „Szulmierz i okolice” (2007), „Cyprysińscy na Mazowszu” (2010), „Historia gminy Regimin” (2017) oraz artykułach na blogu „Ciechanowskie notatki” (<https://ciechanowskienotatki.pl/>)

# OBLICZE BELLONY NA SKRAWKU PÓŁNOCNEGO MAZOWSZA (1914-1918)

*Przeszłość nie umarła, a nawet nie minęła (Christa Wolf)*

Bellona, rzymska bogini wojny. Wojna – słowo, które przez ostatnie miesiące było i jest odmieniane przez wszystkie przypadki. Obraz jej okrutnego oblicza towarzyszy naszej spokojnej codzienności, do której moje pokolenie wychowane i dorastające bez wojny tak łatwo i szybko się przyzwyczało. Uwierzyliśmy, że nie ma już powrotu do tragicznych czasów z I połowy XX wieku. Jak bardzo się myliliśmy, pokazał czwartek 24 lutego 2022 roku.

Nasi przodkowie zapewne takich złudzeń nie mieli. Wiedzieli, że powstania i wojny wpisane są w historię ich życia i tych, którzy byli przed nimi. Nie przypuszczali jednak,



*Antoni Julian Nowowiejski,  
biskup płocki 1908-1941.*

że zamach, który miał miejsce w niedzielę 28 czerwca 1914 roku w odległej stolicy Bośni na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żonę Zofię zmieni oblicze Europy. Wydarzenie, które stało się ogólnoswiatową sensacją, doprowadziło we wtorek 28 lipca 1914 roku do wybuchu I wojny światowej, trwającej dokładnie 4 lata 4 miesiące i 11 dni. Główną areną walk było terytorium Francji i Polski, w tym nasze Północne Mazowsze. I mimo tego, że jeszcze w 1914 roku polski dyplomata i historyk Michał Sokolnicki pisał, że *nikt na całym świecie Polski nie chce*, to nasza Ojczyzna po 123 latach istnienia jedynie w sercach Polaków pojawiła się w końcu z powrotem na mapie Europy. Stało się to możliwe dzięki klęsce cesarstwa niemieckiego i rozpadowi caratu. Zanim jednak odrodzenie Polski nastąpiło, musieli przeżyć wojnę, zmierzyć się z jej skutkami, a ziemia naszych przodków spłynęła krwią walczących żołnierzy. Wybuch wojny był dla moich pradziadków i ich dzieci wielkim zaskoczeniem, wiadomość była *jak grom z jasnego nieba*.

Pierwszym wojennym rozporządzeniem był pobór rezerwistów do armii rosyjskiej. 30 lipca 1914 roku ukazały się ogłoszenia o powszechnej mobilizacji, która rozpoczęła się 1 sierpnia. Ze względu na położenie Północne Mazowsze już w pierwszych tygodniach wojny stało się areną walk. Zanim to jednak nastąpiło, władze carskie zaczęły obiecywać naszym przodkom przysłowiowe *złote góry* z nadzieją, że będą to zachęty do wstąpienia w szeregi armii. Car Mikołaj w „Odezwie do Polaków” z 14 sierpnia 1914 roku wyrażał uznanie dla ducha wolności,

który ciągle jeszcze nie umarł w narodzie, pomimo tylu lat niewoli. Zaproponował, aby pod berłem Cesarza rosyjskiego odrodziła się wolna Polska, nie zapomniał też wspomnieć o Grunwaldzie oraz wielkiej odwadze i waleczności Polaków.

Ciechanów został zajęty przez wojsko niemieckie 18 września koło godziny 14. Do 12 grudnia miasto kilkakrotnie przechodziło z rąk do rąk. Ostatecznie, po wygranej bitwie pod Opinogorą, owego dnia Rosjanie odbili miasto. Po odejściu Niemców okazało się, że okoliczne miejscowości zostały nie tylko zniszczone, ale i okradzione z żywności. Najbardziej uległy spustoszeniu wsie w gminie Opinogóra i Bartoły: Dzbonie, Kąty, Pomorze, Opinogóra Dolna, Rębówko, Władysławowo, Załuże-Patory i Długołęka-Mirosy. W tym czasie w Długołęce mieszkali moi pradiadkowie Karol i Stanisława Kierzkowscy z szóstką dzieci, w tym z moją przyszłą babcią po kądzieli - Heleną.

Od grudnia 1914 roku do lutego 1915 roku zmagania wojenne na naszym terenie przybrały charakter wojny pozycyjnej. Zapewniły to fortyfikacje wzdłuż całego frontu. Budowę ich Rosjanie rozpoczęli już zimą 1915 roku. Na potrzeby umocnień przetrzebiono okoliczne lasy, zagajniki, przydomowe sady oraz płoty. Pola okolicznych wsi zostały zryte okopami. Najlepiej ufortyfikowane były okolice Opinogóry. Okopy tutaj wyglądały jak prawdziwe fortece oszalowane grubymi palami, pokryte zasiekami z drutu kolczastego, który był przekleństwem dla atakującej piechoty i zaliczał się do strategicznego materiału tej wojny. W lutym 1915 roku walki uległy gwałtownemu wzmożeniu, co doprowadziło do najkrwawszych bitew frontu wschodniego, uznawanych za „Marne frontu wschodniego”<sup>1</sup>. W historiografii walki

<sup>1</sup> Bitwa pod Marną - 6-12.09.1914 r. Krwawa bitwa na froncie zachodnim, która powstrzymała marsz Niemców na zachód.



Ciechanowski rynek, 2 kompania przed wyjściem na ćwiczenia 15.05.1918 (ze zbiorów Mirosława Krejpcowicza).

te noszą nazwę bitwy przasnyskiej, natomiast w literaturze rosyjskiej nazywają się operacją przasnyską. Jak widać, upodobanie do określenia „operacja” w odniesieniu do prowadzonej wojny pozostało Rosjanom do dzisiaj!!!

Niemcy chcieli zająć Przasnysz, leżący na głównym trakcie łączącym Królewiec z Warszawą. Walki z wojskami rosyjskimi trwały od 18 lutego do 26 marca i skończyły się niepowodzeniem niemieckim, a powiat ciechanowski po raz kolejny znalazł się pod kontrolą wojsk rosyjskich. Zmagania na tym odcinku frontu przybrały charakter wojny pozycyjnej i od końca marca praktycznie zamarły. Dla moich przodków oznaczało to kilka tygodni spokoju i przysłowiowej ciszy przed burzą. Po przegranej lutowej bitwie i czteromiesięcznej wojnie pozycyjnej 13 lipca 1915 roku wojska niemieckie rozpoczęły nową ofensywę, która w historiografii polskiej nazywana jest II bitwą przasnyską, w niemieckiej ofensywą narwiańską, zaś w rosyjskiej także bitwą przasnyską. W mojej rodzinie pamięć o niej trwa od czterech pokoleń. (Zadziwiające, że jest to zgodne z wnioskami współczesnych badaczy pamięci i psychologów, którzy twierdzą, że wiedza rodziny rozciąga się na cztery pokolenia, które scalają to, co się działo i dzieje. Wspomina też o tym Stary Testament, ale odnosi się to już tylko do przewinień ojców).



Cmentarz, Opinogóra Dolna, niemieckie nagrobki.

Na przełomie czerwca i lipca 1915 roku w Ciechanowie wybuchła epidemia cholery, która bardzo szybko przeniosła się na żołnierzy rosyjskich. Ciechanów zamknięto na dwa tygodnie. Prawdopodobnie to wydarzenie przesądziło o rozpoczęciu lipcowej bitwy. Niemcy zaatakowali o godzinie 4:45, gdy opadły mgły, a walki trwały ponad cztery godziny. Na pozycje rosyjskie spadł grad pocisków z prawie 800 dział. „Kurier Warszawski” pisał: *kanonada była tak wielka, że na wojsku niemieckim wywarła głębokie wrażenie, rosyjskie zaś straciło głowę*. Przewaga wojsk niemieckich była druzgocąca. W wyniku ciężkich strat, utraty większości pozycji i braku woli walki żołnierzy dowództwo rosyjskie po północy 14 lipca podjęło decyzję o odwrocie. Niestety, jeszcze tej samej nocy na odcinku od Opinogóry do Trętowa nastąpiło krwawe starcie, które mojego dziadka Władysława Załuskiego z dwójką rodzeństwa i pradziadkiem Janem z czwartą żoną, mieszkujących w Trętowie-Pełzach pozbawiło dachu nad głową. Spłonęły również wszystkie zabudowania gospodarcze. Schronienia pogorzelcom udzielił kolega dziadka, Romuald Sosnowski z Sosnowa.

Dziadek został właścicielem majątku (57 ½ morg) 21 stycznia 1914 roku. Kupił go za 3500 rubli. Akt sporządzono u notariusza Józefa Słomczyńskiego przy Kancelarii Hipotecznej Sądu Pokoju w Ciechanowie. Stało się to na



Cmentarz, Opinogóra Dolna; obelisk z zatartym napisem „Pro Patria 1915-1918” (Dla Ojczyzny). W prawym rogu data 30.08.1928.

dwa tygodnie przed ślubem starszego brata Adama Waclawa z Heleną Pszczółkowską. W akcie notarialnym dziadek zobowiązał się, że do 10 kwietnia 1914 roku spłaci trójkę rodzeństwa w kwocie 500 rubli w gotówce dla każdego z nich. Swojemu ojcu i jego małżonce zobowiązany był zapewnić dożywocie. Wedle zapisu zobligowany był również: *corocznie dostarczać 5 kop pszenicy, 3 kopy żyta, 1 kopa jęczmienia, połowy kopy grochu, 3 kopy owsa w postaci suchego i zdrowego ziarna z dostawą do mieszkania alimentariuszy. 20 kop przygotowanych oraz dobrej jakości ziemniaków, 41 sążni kwadratowych albo 10 kwadratowych prętów nawożonej i całkiem przygotowanej do sadzenia kartofli ziemi<sup>2</sup>*. W dokumencie oprócz wszelkich danych

<sup>2</sup> Miary nowopolskie – system miar Królestwa Polskiego wprowadzony 1 stycznia 1819 r., oficjalnie stosowany do 1849, jeszcze w 1914 roku był w użytkowaniu. 1 morga (miara podstawowa) = 3 sznury kwadratowe = 5598,7 m<sup>2</sup>;



Drut kolczasty – przekleństwo atakującej piechoty potrzebnych do zawarcia aktu znalazły się dwa znaczące słowa odnoszące się do osób stawiających się wówczas przed notariuszem, które nawet po 108 latach kłują w oczy i serce, po prostu bolą - rosyjskie poddaństwo

O tym, jak nierówna była walka Rosjan z Niemcami świadczy fakt, że pozycji od Kąt przez Opinogórę do Trętowa broniły trzy pułki rosyjskie przed sześcioma pułkami niemieckimi. Jeden z tych pułków, 41. Pułk Strzelców Syberyjskich wycofał się do Pałuk, ponosząc straty ponad 80% swoich żołnierzy. W pamięci mojej rodziny ze strony taty zachował się obraz jednego z epizodów tej walki: *W okolicach Pajewa stała kawaleria ukraińska, od strony Pałuk przez pole obsiane żytem szła kawaleria niemiecka, która w oka mgnieniu rozniosła konnicę przeciwnika. W czasie odwrotu jeden z rosyjskich kawalerzystów spadł z konia i leżał w redlinach. Koń uciekł, ale gdy spostrzegł, że w siodle brak jeźdźcy wrócił. Po skończonej potyczce wojsko niemieckie odeszło z Pałuk w stronę ciechanowskiej szosy. W czasie tego starcia ucierpiał też pałucki kościół. Co prawda, owego 15 lipca 1915 roku: tylko jedna kula armatnia uderzyła w róg kościoła, ale straty były znaczne. Nad zakrystią załamały się więzania i dach, mur między oknami został zrujnowany, z dwóch okien wyleciały szyby, a rama żelazna została połamana. Dalszych zniszczeń*

1 kopa = 60 sztuk (stosowana do obliczania zbiorów snopów w XVII–XIX); 1 sążeń = 6 stóp = 1,728 m; 1 pręt = 2,5 sążnia = 4,32 m.



Karta pocztowa wysłana przez wujka Laua do Gerdy Schwartz, na pamiątkę jego pobytu w Przasnyszu (ze zbiorów Mirosława Krejpcowicza)

dokonali żołnierze, którzy nocowali tylko jedną noc – skradli sprzęty kościelne. Później w murach świątyni został zorganizowany szpital - tak informował swoich czytelników „Kurier Płocki” w 1916 roku. Wskutek postojów żołnierzy (dla odmiany niemieckich) zniszczeniu uległy również zabudowania plebańskie. Oprócz lazaretu w kościele funkcjonował duży szpital polowy w Janowiecach, pomoc rannym żołnierzom była również udzielana w domu moich pradziadków Kazimierza i Anny Pajewskich, mieszkających w Pajewie–Cytach z piątką dzieci, w tym z moim przyszłym dziadkiem po mieczu - Mieczysławem<sup>3</sup>. O tym, że w domu pradziadków udzielana była pomoc medyczna świadczy opowieść mojego taty Longina Pajewskiego; wspominał on, że kiedy w latach 60. XX wieku rozbierano stary drewniany dom w Pajewie aby na jego miejscu wybudować nowy, to przy rozbiórce drewnianych podłóg okazało się, że deski były nadal przesiąknięte krwią żołnierzy z 1915 roku.

Każda wojna pozostawia po sobie cmentarze. W dwóch bitwach przasnyskich poległo łącznie około 106 tys. żołnierzy rosyjskich

<sup>3</sup> Pradziadek był wojskowym felczerem w stanie spoczynku, jak zapisano w akcie ślubu 18.10.1889 r. w Pałukach. W 1893 r. prowadził praktykę medyczną w Ciechanowie. Adnotacja o tym jest w akcie urodzenia mojego dziadka Mieczysława Wiesława. Pradziadek w latach 1895 i 1897 zatrudniony był w Opinogórze Hrabskiej, gdzie urodziło się dwóch jego synów Stanisław Henryk (który tam również zmarł) i Gustaw.





Lazaret, fara przasnyska. Zapewne podobnie wyglądał szpital w kościele w Pałukach (ze zbiorów Mirosława Krejpcowicza)



Opinogóra Dolna, cmentarz wojenny

i 54 tys. żołnierzy niemieckich. Zmarłych było tak dużo, że w gminie Opinogóra i Bartoły grzebano ich przy linii frontu. Tak powstały cmentarze w Opinogórze, Trętowie–Pełzach, Niemierzycach i Patorach. Wiosną 1916 roku władze niemieckie zarządziły pierwsze ekshumacje. Zwłoki ściągnięto z okolicy na jeden cmentarz, wytyczony na wzgórzach pod folwarkiem w Opinogórze Dolnej. W 1928 roku nekropolia ta stała się cmentarzem zbiorczym poległych w I wojnie światowej. Tam przeniesiono zmarłych z cmentarzy w Ciechanowie oraz z całej okolicy. W Trętowie-Pełzach i Niemierzycach ślady po cmentarzach są widoczne do dzisiaj. W Trętowie miejsce to wyznacza figurka i stanowiące jej tło stare wyniosłe lipy, które były świadkami wielu wydarzeń w okolicy. Starzy mieszkańcy po dziś dzień ten skrawek ziemi nazywają *cmentarzykiem*. Dziesięciomiesięczne walki w powiecie

**Dodatek nadzwyczajny.**  
nr 682 (24) Warszawa, sobota 14 sierpnia 1914 r. Kp. 11.

**2 GAZETA PORANNA**  
GROSZE PRZEZIŁTA

PRZYTJUMIENY OGŁOSZENIA TYLKO FIRM CHRZEŚCIJAŃSKICH  
**Rzeczywiście największy nakład w Królestwie Polskiem.**

**Odezwa Zwierzchniego Wodza Naczelnego do Polaków.**

**PETERSBURG** (Tel. Pol. Ag. Tel.)  
**POLACY!** Wybiła godzina, gdy serdeczne marzenie ojców i dziadów waszych może się spełnić. Minęło półtora wieku od czasu, jak żywe ciało Polski rozdarło na części, ale duch Jej nie umarł. Żyła ona nadzieją, że przyjdzie chwila zamartwychwstania narodu polskiego i braterskiego pogodzenia się jego z Wielką Rosją. Wojska rosyjskie niosą wam radosną wieść tego pogodzenia się.

Niech znikną granice dzielące na części naród polski, nie-onaj połączy się on w jedną całość pod berłem Cesarza rosyjskiego. Pod tym berłem odrodzi się Polska wolna co do swaj wiary, języka i samorządna. Jednego oczekuje od was Rosya – takiegoż poszanowania dla praw tych narodowości, z którymi związała was historia.

Z otwartym sercem i po bratersku wyciągniętą dłoń idźcie na wasze spotkanie wielka Rosya. Wierzy Ona, że nie zarządzał jeszcze młoz, który razii wroga pod Grunwaldem.

Od brzegów Oceanu Spokojnego do mórz Północnych idą pułki rosyjskie. Zorza nowego życia wschodzi dla was. Niechaj zabłyśnie na zorzy tej znamię krzyża, symbol ojerpleni i zamartwychwstania narodów.

Zwierzchni Wódz Naczelný General Adyutant  
**MIKOŁAJ.**

14 sierpnia 1. 1914 r.

Odezwa cara Mikołaja do Polaków, 14.08.1914

ciechanowskim przyniosły duże straty. Na 422 wsie zniszczono 139, w tym 2758 domów oraz 58 dworów. Wśród tych 2758 spalonych domów był dom mojego dziadka z Trętowa–Pełzów. W dziele niszczenia obie walczące ze sobą armie postępowały w równie barbarzyński i okrutny sposób. Niemcy, wkraczając na teren Królestwa, niszczyli i grabili wszystko, co tylko mogli, często bez celu i przyczyny, o czym pisał Aleksander Świętochowski na łamach czasopisma „Humanista Polski”. Wykazywali się również sporym pragmatyzmem. Stworzyli specjalny oddział, który wiozł młockarnie sprowadzone z Prus. Po wejściu do wsi Niemcy konfiskowali zboże, młócili je i wysyłali ziarno do Prus.

Bardzo uciążliwe dla ludności cywilnej były ciągłe rekwizycje i kontrybucje na rzecz armii obu stron. Już na samym początku wojny z połowy powiatu ciechanowskiego Rosjanie



Prababcia Anna  
z Łyszkowskich, I voto  
Pajewska, II voto Pajewska,  
żona felczera Kazimierza  
Pajewskiego



Po lewej: dziadek Władysław  
Zaluski, siostra Leokadia oraz  
przyjaciel i przyszły szwagier  
Kazimierz Jan Kierzkowski,  
przed 1918 r.



Proboszcz parafii Pałuki  
w latach 1913-1929 kanonik  
Julian Ruszczyński; 3.02.1918  
pobłogosławił małżeństwo  
dziadków Zaluskich

zarekwirowali bydło na potrzeby forticy Modlin. Kolejną część bydła przywłaszczyli sobie Niemcy jesienią 1914 roku, konfiskacie podlegały konie, świnie, wozy oraz pasze. Problemem był także obowiązek zapewniania kwater żołnierzom. Na potrzeby przemysłu zbrojeniowego w pierwszej połowie 1915 roku Rosjanie zarządzili rekwizycję miedzi, mosiądzu i cyny. Oprócz dzwonów kościelnych zabierali klamki do okien, drzwi i pieców, patelnie, kotły, samowary, nie gardzili nawet łyżkami.

Niemcy często płacili za przywłaszczone dobra gotówką lub kwitami wojennymi. Na początku wojny na ich podstawie Rosjanie wypłacali mieszkańcom odszkodowania za straty poniesione w czasie tych działań, płacili również za zarekwirowane konie i bydło oraz za zniszczone zasiewy. Czasami żołnierz niemiecki, który wypisywał owe kwity, był obdarzony poczuciem humoru. Pisał o tym "Goniec z Okolic Warszawy. Jednodniówka" 18 października 1914 roku: *Po wizycie Niemców zostało dużo kwitów pisanych ołówkiem: "Pisałem ja – łapcie mię w Prusach" lub "Za wszystko zapłacą kozacy".* W kolejnych miesiącach wojny sytuacja diametralnie się

zmieniła. Największym problemem i dramatem wsi były zniszczone zasiewy. W znacznej części gmin Opinogóra i Bartoły nie było możliwości prowadzenia prac polowych, bo były tam ciągle pozycje wojskowe. Pojawiło się realne widmo głodu. Ks. Józef Piekut, proboszcz przasnyski zanotował: *Przasnysz i okolica północna to miejsce krzyżów, mogił, to miejsce nędzy [...] ludzie zostali bez dachu, bez pościeli, bez chleba.*

16 lipca o 6 rano Niemcy zajęli Ciechanów, ale z powodu panującej epidemii cholery pośpiesznie opuścili miasto. Po przeprowadzeniu szczepień wojska powróciły już na stałe do naszego miasta. Rozpoczęła się okupacja niemiecka na ziemiach *rosyjskiemu panowaniu wydartych*. W efekcie przejęcia władzy w Królestwie Polskim przez Niemców skończyło się rosyjskie podwójne datowanie czasopism i dokumentów państwowych (kalendarz juliański i gregoriański), zaczął obowiązywać już tylko kalendarz gregoriański. Zmieniła się również obowiązująca waluta, od 9 grudnia 1916 roku rubla zastąpiła marka polska. Położenie miejscowej ludności niestety nie zmieniło się na lepsze. W styczniu 1916 roku Niemcy zaczęli



*Żołnierze rosyjscy pod Przasnyszem*



*Rosyjska piechota w okopach w Królestwie Polskim*

ściągać podatki, pobierane nawet od zapalek. Nałożono nowe kontyngenty. Zgodnie z zarządzeniem władz okupacyjnych z września 1915 roku gospodarze mogli zatrzymać tylko 50 kg zboża na osobę. Konfiskaty były tak duże, że na użytek ludności nie zostawało już prawie nic. Wieś оголоcono z żywności. Walcząc o przetrwanie, ludzie wykazywali się dużym sprytem i pomysłowością, aby ukryć produkty spożywcze. Powszechnie stosowano tzw. dołowanie (zakopywanie żywności i wymłóconego zboża). Było to niebezpieczne, ponieważ często zniemacka okoliczne wsie odwiedzała lotna żandarmeria, która kontrolowała stodoły, spichlerze, młyny, chaty chłopskie oraz dwory. Prócz broni byli oni wyposażeni w specjalne szpice do szukania w ziemi ukrytych plonów. Największym towarem deficytowym była nafta. Jak wspomina w swojej książce Stanisław Łukasiewicz, można ją było kupić tylko w Ciechanowie u Żyda, płacąc produktami spożywczymi. Prawie zawsze mętna i zanieczyszczona, była, *tykającą bombą* pod dachem. (Kolejna paralela; produkty ropopochodne w czasie wojny, niezależnie od czasu są towarami deficytowymi.) Na domiar złego pogoda też nie sprzyjała naszym przodkom, zima 1916–1917 była wyjątkowa długa i sroga.

Umęczonym i utrudzonym mieszkańcom Królestwa Polskiego pospieszyli z pomocą Polacy z pozostałych zaborów oraz Polonia, głównie ze Stanów Zjednoczonych, która za pośrednictwem Henryka Sienkiewicza prowadziła

akcję pomocy. Również sami mieszkańcy Królestwa nie byli obojętni na los najbardziej poszkodowanych i potrzebujących pomocy. Już 29 sierpnia 1914 roku powołany został Centralny Komitet Obywatelski. W guberni płockiej ukonstytuował się on 13 listopada. Oddziały Komitetu powoływano we wszystkich gminach powiatu. W większości organizacją ich i prowadzeniem zajmowali się księża przy współpracy z lokalną społecznością. W Bartołodach Komitet organizował ks. Józef Orłowski, w Gołyminie wiceprezesem był ks. Wacław Szczepkowski, a w Sońsku ks. Franciszek Chęłchowski. Niestety decyzją generał-gubernatora Hansa von Beselera z 12 września 1915 roku rozwiązano Centralny Komitet Obywatelski. Ostatnie posiedzenie Powiatowego Komitetu w Ciechanowie odbyło się 17 września 1915 roku. Potrzeby mieszkańców Królestwa wyniszczzonego wojną były tak duże, że zaspokojenie ich wyłącznie przez organizacje społeczne przekraczało możliwości. W miejsce Komitetów 12 grudnia 1915 roku powołano Radę Główną Opiekuńczą (RGO), która w większości przejęła ich działalność. Działalność RGO odbywała się pod czujnym okiem okupantów, którzy mieli prawo uczestnictwa w posiedzeniach oraz prawo weta w stosunku do uchwał Rady. 12 stycznia 1916 Powiatowa Rada Opiekuńcza została powołana w Ciechanowie, a po jej ukonstytuowaniu się powołano 19 gminnych i parafialnych komisji.

Palącym problemem wsi po działaniach wojennych była odbudowa zniszczonych i spalonych zabudowań, dlatego przy RGO w lutym 1916 roku powołano Wydział Budowlany, w maju zaś Wydział Rejestracji Strat Wojennych, który zakładał Sekcje Budowlane i Biura Porad Budowlanych. W tym celu wysyłał w teren swoich delegatów, a przy już utworzonych strukturach zatrudniał specjalistów. Zainicjował też powołanie Spółdzielni Budowlanych, które powstawały głównie na wsi, dostarczając członkom materiałów budowlanych, dokonując zakupów hurtowych lub organizując wytwórczość we własnym zakresie. Dzięki Sekcji Budowlanej przy RPO w Przasnyszu założono tartak dostarczający materiał na budowę. Wydział organizował również bezpłatne kursy budownictwa wiejskiego z pokazami krycia dachów, ceglarskimi oraz murarskimi. Biura Porad Budowlanych miały bardziej profesjonalny charakter. Ich zadaniem było dbanie m.in. o to, aby: *charakter zewnętrzny wznoszonych budowli odpowiadał dzielnicowym tradycjom budownictwa polskiego i miejscowemu krajobrazowi*. Prawdopodobnie z takiej wytwórczości we własnym zakresie skorzystał mój dziadek Władysław Załuski. Gdy wojna i ryzyko jej nawrotu odeszło daleko od granic powiatu, dziadek zakupił od handlarza dom z bali. Była to typowa zabudowa mazowieckiej zagrody drobnoszlacheckiej na przełomie XIX i XX wieku, czyli dom dwutraktowy. Pierwsze wejście znajdowało się od podwórza, prowadziło przez małą sień, gdzie znajdowały się schody na strych służący za spichlerz. Takie przeznaczenie strychu było ogólnie przyjęte w domach drobnej szlachty. Podłoga sieni była wyłożona ceglami. Drugie wejście, umiejscowione od szczytu, wiodło przez dużą sień prowadzącą bezpośrednio do obszernej, długiej kuchni z piecem chlebowym i małym zachowankiem. Dom miał też trzy duże



Rosyjskie okopy koło Przasnysza  
(ze zbiorów Mirosława Krejpowicza)

pokoje. W sypialni dziadków tak jak w wielu domach nad łóżkiem wisiał obraz Serca Pana Jezusa i Serca Maryi. Na całej długości nad oknami były widoczne zdobnicze elementy architektoniczne. Niestety pod koniec lat 60-tych dom doszczętnie spłonął.

Odtwarzane tu wydarzenia (zbudowane z okruszków pamięci, a przechowywane w niej jak, *rodowe srebra*) pragnęłam przekazać dalej, aby przypominały potomnym o tych, którzy byli przed nimi, o ich dziedzictwie i prostym, często niełatwym życiu, gdzie praca była główną i zasadniczą treścią istnienia. Zgłębiając dzieje moich przodków na Ziemi Ciechanowskiej w czasie I wojny światowej, próbowałam przenieść się do ich świata, zobaczyć oczyma wyobraźni to, co działo się wokół nich, co mogli czuć, jakie myśli zaprzętały im głowę w tym trudnym czasie życia. Jednego jestem pewna, że w tych najstraszniejszych chwilach grozy robili zapewne to samo, co mieszkańcy folwarku w Opinogórze, bohaterowie wspomnień wyżej wymienionego Stanisława Łukasiewicza: *kobiety wydostały duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zapaliły świece – i poczęły śpiewać głośno litanię. Wnet wszyscy przyłączyli się do chóru i żarliwą błagającą pieśnią próbowali zagłuszyć łomot bitwy*. Moi przodkowie, a pewnie nie tylko oni, wiarę mieli zakorzenioną głęboko w sercu. Być może za przyczyną tych modlitw w czasie wojny ponieśli tylko straty materialne. Wszyscy ich bliscy przeżyli. O swoich wiernych



Trętowo-Pelzy, niedzielne popołudnie przed frontem domu, od lewej: Danuta Załuska, Zdzisław Kierzkowski, Zbyszek Sosnowski i Krystyna Goździewska, połowa lat 50.



Trętowo-Pelzy, niedzielne popołudnie, od lewej: Danuta Załuska, Zdzisław Kierzkowski, Krystyna Goździewska i Remigiusz Nowakowski, połowa lat 50.



Z prawej babcia Helena Kieszkowska, siedzi jej brat Kazimierz Jan, z lewej NN; Przasnysz przed 1918 r.



Z prawej dziadek Mieczysław Wiesław Pajewski, świadek wydarzeń z 15 lipca 1915 r., z lewej NN



Rosyjska propagandowa karta pocztowa. Odwieczny wróg miał być teraz przyjacielem.



Trętowo-Pelzy, 29.04.1957. przed dużą sienią siostry Hanówny Maria i Nina



Trętowo-Pelzy, przed frontem domu; od lewej: Danuta Pajewska, Roma Kierzkowska, Krystyna Goździewska, kuca Jola Goździewska; 29.04.1957 r.

w tych trudnych czasach nie zapomniał ich duszpasterz, biskup płocki Antoni Julian Nowowiejski, dziś już błogosławiony. Wystosował do nich "Orędzie o chrześcijańską postawę podczas działań wojennych": *Lęk wojny coraz bardziej nas zdejmuje; okropności wojny w diecezji naszej, najbardziej może pod tym względem zagrożonej, już dają się odczuć. Zdaje się nam, że słyszymy słowa Chrystusa Pana: „Bo usłyszycie wojny i wieści o wojnach. Patrzcie, abyście sobą nie trwożyli. Boć się to musi stać, ale jeszcze nie jest koniec. Albowiem powstanie naród przeciwko narodowi, i królestwo przeciwko królestwu, i będą mory i głody i drżenia ziemi po miejscach” (u św. Mat. 24). Tak ciężkie dziś chwile przeżywamy. Toteż przede wszystkim zwróćmy się do Boga, przypadnijmy do Najwyższego Sędziego, Króla królów, i wołajmy: „Zmiłuj się nad nami według wielkiego miłosierdzia Twego”. Chrześcijanie wiele nieszczęść przebyli – i zawsze dla nich ratunkiem i pociechą była modlitwa. I tym razem przy modlitwie wytrwamy, ona nam pomoc niebieską zapewni. Nie tracimy też ufności [...] W takim nieszczęściu, jak obecne, my chrześcijanie, więcej niż kiedykolwiek indziej, czuć się musimy braćmi, jedną rodziną. Ratujmy się w tej doli smutnej wzajemnie i nie pozwólmy, aby bracia nasi z głodu i nędzy ginęli. Nieszczęśliwych w diecezji naszej już wielu, ale miłość chrześcijańska dolę nieszczęśliwych osładzać i wedle sił onej zaradzić postara [...] A nade wszystko zobowiązuję Was i proszę, abyście pracy, tego przez Boga włożonego na nas obowiązku, nie porzucali. W pośród największego zamętu, trwogi, nie przestawajmy pracować. Nawet wtedy, gdy owoce pracy naszej wojna niszczyć będzie, nie dajmy się od niej żadnym złym podszeptom oderwać. [...] Praca codzienna, z modlitwą złączona, zapewni nam spokój pożądany i od wielu nieszczęść ochroni[...]*

+ Antoni Julian Bp Dan w Płocku,  
d. 9 sierpnia 1914 r.

Nadto w "Rozporządzeniu z dnia 4 listopada 1915 roku" biskup prosi swoich księży, aby w myśl wskazówek papieża Benedykta XV na czas wojny po każdej mszy św. odmówił modlitwę Ojca św. o pokój oraz następujące wezwania:

*Święta Maryjo, Królowo Korony Polskiej,  
módl się za Polskę;  
Święty Stanisławie Biskupie, módl się  
za Polskę;  
Święty Kazimierzu, módl się za Polskę;  
Święty Wojciechu, módl się za Polskę;  
Święty Stanisławie Kostko, módl się  
za Polskę;  
Wszyscy Święci i Święte Polskie,  
módlcie się za Polskę.*

Być może, wsłuchując się w te podszepty i zalecenia Kościoła, moi przodkowie nie bali się powiedzieć Panu Bogu i sobie – tak. Bo przecież wojna wojną, ale ludzie chcą żyć, pragną przyjaźni i miłości, marzą aby swoją codzienność dzielić z drugim człowiekiem. W „Księdze Rodzaju” sam Bóg mówi do Adama: *Nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam* i stworzył dla niego Ewę. Taką biblijną Ewą dla mojego dziadka po kądzieli - Władysława Załuskiego stała się Helena Kieszkowska z Długoleki, młodsza siostra serdecznego kolegi – Kazimierza. Zgodnie z prawem zwyczajowym obowiązującym u szlachty mężczyzna, który chciał założyć rodzinę powinien żenić się między 24 a 30 rokiem życia i być formalnym właścicielem majątku. Dziadek w dniu ślubu miał 31 lat, choć w akcie zapisano, że 29. Dla odmiany do aktu zgonu wpisano już poprawny wiek, zatem sądzę, że dziadek doskonale wiedział, w którym roku się urodził. Pomimo że ciągle trwała wojna, w niedzielę 3 lutego 1918 roku o godzinie 18 w pałuckim kościele Władysław i Helena złożyli sobie przysięgę małżeńską. Zanim to nastąpiło, narzeczeni



*Trętowo-pełzy, cmentarzyk  
– miejsce pochówku żołnierzy z 1915 r.*

byli zobowiązani do urządzenia *wzajemnych stosunków majątkowych*, czyli musieli sporządzić umowę przedślubną, co miało miejsce 23 stycznia 1918 roku w Ciechanowie w Kancelarii Rejenta Stanisława Klimaszewskiego przy ulicy Wielko-Małgorzackiej pod 274. Przyjęte było, że intercyzę przedmałżeńską spisywano w zamożniejszych rodzinach. Szlachta w posagu często dawała pieniądze i tak też było w tym przypadku. Od swoich rodziców Helena otrzymała w posagu 5400 marek, czyli 2500 rubli płaćnych w dwóch ratach. Czy było to małżeństwo z miłości, czy z rozsądku czy może skojarzone przez rodziców, tego nie wiem. Ale jedno wiem na pewno, nowożeńcy zamieszkali w nowym domu, który stał się świadkiem narodzin szóstki ich dzieci, dwóch ślubów i wesel, a także śmierci, która stanowi nieodzowną towarzyszkę ludzkiego życia.



*Zarekwirowane przez Rosjan furmanki  
jadące na wschód*

W miarę spokojne wspólne życie dziadków trwało zaledwie rok. Już 14 lutego 1919 roku, czyli po trzech miesiącach od odzyskania niepodległości, wojska rosyjskie (bolszewickie) ponownie przekroczyły polską granicę. Znowu wojna!

*Marzena Janina Kowalik*

Te okruchy wspomnień mogłam umieścić w odpowiednim czasie i przestrzeni dzięki niżej wymienionym autorom, za co jestem wdzięczna:

Wojciech Jerzy Góralczyk, *Opinogóra w czasie I wojny światowej*, "Biezuńskie Zeszyty Historyczne" 2018 nr 32

Janusz Pajewski, *Pierwsza wojna światowa 1914-1918*,

Andrzej Nieuważny, *Zapomniana wojna. Front wschodni 1914-1918*

Małgorzata i Marek Przeniosło, *Rada Główna Opiekuńcza w latach I wojny światowej*

Stanisław Łukasiewicz, *Kraina lat szczęśliwych*

Dariusz Piotrowicz, *Powiat Ciechanowski w latach 1914-1920*

Tadeusz Boruta, *Wieś mazowiecka w czasie I wojny światowej*. "Ciechanowskie Studia i Materiały", nr XLIII

Jarosław Chorzęba, *Przasnysz luty 1915 najciekawsza bitwa I wojny światowej*

Irena Kotowicz-Borowy, *Honor to nie tylko słowo. Studium tożsamości kulturowej drobnej szlachty północnego Mazowsza*  
Abp Antoni Julian Nowowiejski, *Listy z Tumskiego Wzgórza, część I i II*

Zygmunt Gloger, *Encyklopedia Staropolska*

Adam Tycner, *Cyrylica nad Wisłą*, "Rzeczpospolita Plus Minus", 4-5 Lutego 2012

Dziękuję również Panu Mirosławowi Krejpowiczowi za udostępnienie zbiorów oraz mojej Przyjaciółce Joli Gadomskiej, która zadbała o to, aby piękne polskie słowa wędrowały po właściwych ścieżkach gramatyki polskiej.

Pozostałe zdjęcia z okresu 1914-1918 pochodzą z albumu Andrzeja Nieuważnego, *Zapomniana wojna 1914-1918 Front wschodni*, reszta stanowi własność autorki.

# CIECHANOWSCY SENIORZY WSPOMINAJĄ...



Sołtys tyle może, ile mu wieś pomoże – taka myśl towarzyszy panu Zdzisławowi Zembrzyckiemu, sołtysowi wsi Drażewo w gminie Sońsk, który wspomina czasy dzieciństwa w rodzinnych Mieszkach-Rózkach, opowiada o aktywności społecznej oraz swoich pasjach.



Gdy wracam myślami do czasów dzieciństwa, zawsze widzę moją mamę Irenkę, która – nauczona doświadczeniami wojennymi – mówiła: „Ucz się, synu, bo jeśli będziesz wykształconym

człowiekiem i będziesz miał jakiś zawód, to tego ci nikt nie odbierze”. Mama nie miała wykształcenia, jej rodzice posiadali duże gospodarstwo, które miał odziedziczyć jej brat, a dla niej zbierano pieniądze na posag. Udało się zebrać 3500 złotych, co było wówczas znaczną kwotą. Wybuchła jednak wojna i pieniądze przepadły. Prawdopodobnie z tego wynikał lęk mojej mamy oraz dążenie, żeby jej synowie byli lepiej zabezpieczeni i mieli coś, czego nikt im nie zabierze.

Rodzinna wieś mamy – Mieszki-Rózki – była bardzo doświadczona już na początku wojny. Z powodu bliskiego sąsiedztwa lotniska w Sokołówku Niemcy wysiedlili mieszkańców, a zabudowania zrównali z ziemią, gdyż lotnisko zamierzano rozbudować. Jak wspominała mama, wieś została otoczona rano, podstawiono furmanki (tzw. podwody), mieszkańcy mieli godzinę na spakowanie rzeczy, po czym wywieziono ich na stację kolejową w Ciechanowie. Dobytek żywy Niemcy zabrali na ubój, sprzęty pozwolili rozebrać mieszkańcom z sąsiednich wsi. Jedną z maszyn mój ojciec Henryk odzyskał dopiero po wojnie, przy pomocy milicji, gdyż

nowy właściciel nie chciał jej zwrócić dobrowolnie. Cała akcja wysiedlenia wsi przebiegała w dramatycznej atmosferze, „jeden wielki płacz” – tak ujęła to mama.

Przez wiele lat po wojnie lotnisko w Sokołówku było powodem naszego lęku. Ciągłe latały samoloty, odbywały się ćwiczenia, a po polach chodzili geometrzy. Mieszkańcy zaczęli podejrzewać, że może znowu będą wysiedlenia, mówiło się o budowie nowego lotniska. Ze względu na lotnisko wieś nie była też elektryfikowana. Jednocześnie systematycznie organizowano wiejskie zebrania w sprawie kolektywizacji, prelegenci z Ciechanowa namawiali do wstąpienia do spółdzielni produkcyjnej. Obecność była obowiązkowa – co najmniej jedna osoba z rodziny musiała być na zebraniu, które często kończyło się nad ranem. Nie wolno było wyrażać sprzeciwu, bo już rano można było zostać zaproszonym na przesłuchanie w Urzędzie Bezpieczeństwa. Ojciec wspominał, że wyglądało to tak, że prelegent mówił, a przezorni chłopcy spali. Nie podpisywali przywiezionych przez prelegenta deklaracji wstąpienia do spółdzielni; nie wyobrażali sobie, że mogliby oddać własną ojcowizną spółdzielni.

Po 1956 r. nastąpiła odwilż, czuło się większy spokój, oddech. Lotnisko przekazano aeroklubowi, można było nawet wypasać tam krowy. Mieszkańcy rzucili się na odbudowę wsi, powstawały nowe zabudowania. Tak pewnie działo się w całej Polsce, ale tu na miejscu najlepiej widziało się ciężką pracę sąsiadów i odczuwało



wielką radość, gdy komuś udało się zbudować dom. Moje pokolenie – pierwsze urodzone po wojnie – nasiąkało lękiem dorosłych, że wojna się powtórzy. Ojciec często mawiał, że nie ma pokolenia, które nie przeżyje wojny. Ta myśl towarzyszyła mi przez wiele lat. Pamiętam, że gdy miałem kilka lat, wybuchła wojna w Korei (1950–1953) i uważano, że zaraz rozpocznie się trzecia wojna światowa. Mama mówiła do ojca (był w wieku poborowym): „Jak wrócisz, to będziemy w piwnicy pod kuchnią, tam nas szukaj”. Pamiętam także, że do tej piwniczki (prawie wszyscy mieli je w domach) zaglądali żołnierze KBW, którzy przyjechali do nas i zażądali, żeby ojciec zszedł do niej i oświetlił ją lampą. Potem weszli oni – czego i kogo szukali, nie mówili. Nie sądzę, żeby ojciec kogoś tam ukrywał, ale zadziało to jak straszak, mama bardzo się bała.

Do naszego domu wieczorami przychodzili sąsiedzi, dużo opowiadali o wojnie polsko-bolszewickiej, o drugiej wojnie światowej, o wywózkach „na białe niedźwiedzie”. Słuchałem tych historii z otwartą buzią, siedząc w kuchni ciemnej od dymu papierosów, które wszyscy wówczas palili. Dopiero po wielu latach zrozumiałem, czemu w czasie tych sąsiedzkich spotkań ojciec zwracał się do mnie: „Zdzisław, obejdz dom wokoło”. Gdy wracałem i nic nie mówiłem, spotkanie kontynuowano, często do bardzo późnej nocy. Dziś wiem, że panowała

atmosfera nieufności, choć z perspektywy czasu uważam, że społeczność mojej rodzinnej wsi była sobie życzliwa i nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby kogoś zadenuncjować. Teraz jako sołtys staram się w swojej wsi zaszczepić myślenie wspólnotowe, tak jak to robił ojciec, który wiele działań podejmował na rzecz wspólnoty, nie myśląc o osobistych korzyściach, np. gdy ręcznie okopał (po obu stronach) ok. 800 metrów jedynej drogi do sklepu i szkoły.

Ojciec był też głównym organizatorem poświęcenia pól, gdy władza ludowa pozwoliła na takie uroczystości. Najpierw rozmawiał z rolnikami, ustalał kwestie organizacyjne, zbierał podpisy, jechał do komendy MO, by uzyskać przychylną komendanta, a następnie zgodę przewodniczącego Rady Narodowej. Dopiero wówczas umawiał się z proboszczem, ks. Stanisławem Tenderendą, którego ze względu na wyjątkowo szlachetną osobowość można nazwać „księciem Kościoła”. Po księdza wyjeżdżało się bryczką do Lasu Krubińskiego i przywoziło do figurki we wsi, postawionej jeszcze przed wojną przez Koło Młodzieży Katolickiej ze składek mieszkańców. Do tej figurki odprowadzano odchodzących na zawsze mieszkańców, żegnanych przez lokalną społeczność w pięknym ceremoniale.

Gdy miałem ok. 12 lat, mój ojciec zdecydował, że będę jechał konno na czele jeźdźców objeżdżających pola. Powierzył mi ważną rolę,



*Dorobek literacki*



*Drążewo, poświęcenie pól*



*Rodzice Irena i Henryk Zembrzyccy*

bo miałem trzymać krzyż, a dwaj jeźdźcy za mną – chorągwie. Propozycja ojca mnie przerażała, bo wcześniej nie jeździłem na koniu. Ojciec uważał, że wystarczy dzień nauki i na pewno dam radę. Zaangażował swojego kolegę ułana z wojny 1920 r., Konstantego Walczewskiego, który przyjechał do nas na rowerze, osiodłał mi konia pożyczonym siodłem i uczył mnie podstaw jeździectwa. Nie muszę dodawać, że rola w tak ważnej dla wsi uroczystości wzbudzała zazdrość, ale i podziw u rówieśników. Uroczystość kończyła się przyjęciem dla mieszkańców, w którym brał udział także ksiądz.

Z inicjatywy ojca we wsi odbywały się także bale ostatekowe, w ostatni wtorek przed środą popielcową. Pamiętam dobrze te składkowe sąsiedzkie zabawy, bo jako dzieci byliśmy tam zabierani przez rodziców. Chociaż ojciec nigdy nie chciał zostać sołtysem, był głównym organizatorem życia wiejskiej społeczności w trudnych powojennych czasach.

Jako dziecko nie byłem zbyt buntowniczy, ale trochę ulegałem kolegom. Zawsze chciałem należeć do jakiegoś grona, niekoniecznie jako przywódca, ale gdzieś blisko niego. Do dziś wspominam incydent, którego nadal się wstydzę, bo myślę, że sprawił przykrość mojej mamie. Skończyłem szkołę podstawową, miałem iść do liceum ogólnokształcącego, ale moi koledzy szli do zawodówki. Mama zaprowadziła mnie do LO na ul. Kopernika w Ciechanowie, a ja stamtąd... uciekłem. Mama zabrała dokumenty, bo cóż mogła zrobić.

Ukończyłem zawodówkę i pomyślałem, że trzeba iść do pracy, ale dostałem wezwanie do wojska. Te dwa lata służby wojskowej były okazją do przemyśleń, że powinienem mieć co najmniej maturę. Po wojsku wybrałem Gdańsk i poszedłem do Technikum Budowy Okrętów. Pochłonięła mnie nauka i dziś byłbym pewnie emerytowanym inżynierem, gdyby nie moja wychowawczyni pani Adamkiewicz, polonistka. To ona na pożegnalnym spotkaniu pomaturalnym wskazała mi drogę edukacji humanistycznej. „Obserwowałam cię i uważam, że powinieneś być humanistą, pójść na uniwersytet. Zobacz, jaką pracę maturalną z języka polskiego napisałeś. Jesteś ambitny, więc pewnie będziesz dobrym inżynierem, ale będziesz to robił z obowiązku” – tak mnie przekonywała.

Decyzji nie podjąłem od razu, zrobiłem sobie przerwę w edukacji. Poszedłem do pracy w Stoczni Gdańskiej, na wydziale, na którym pracował późniejszy Prezydent RP Lech Wałęsa. Był początek lat 70. XX wieku. Jako technik nie miałem ciężkiej pracy fizycznej, ale przekonałem się, że to nie jest to, co chciałbym robić w życiu. Dla pracowników fizycznych praca, zwłaszcza w zimie, była bardzo ciężka. Uważałem, że nawet w kopalni są lepsze warunki pracy. Po roku zrezygnowałem i przyjechałem do domu. Obwieściłem, że mam świadectwo maturalne i zamierzam iść na Uniwersytet Warszawski na Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. Mama bardzo się ucieszyła.

Studia okazały się wymarzone – nie chciało mi się wychodzić z zajęć. Pomyślałem, że może być ze mnie niezły dziennikarz czy historyk. W pracy dyplomowej poruszyłem temat walk między Polakami w powojennej Polsce. Na moim wydziale, ale także na innych, w bibliotekach można było znaleźć wiele nieupublicznych dokumentów i materiałów m.in. o walkach na północnym Mazowszu,



*W siodle...*

co szczególnie mnie interesowało. Ubolewam, że po wojnie z rąk Polaków ginęli ludzie, którzy z umacnianiem władzy ludowej nie mieli wiele wspólnego, czego przykładem byli chociażby zabici nauczyciele z Gołymina czy Kraszewa. Na szczęście nie wszystkich trudne wydarzenia potrafiły odczłowieczyć. O takich osobach i ich szlachetnych postawach opowiadali mi rodzice.

Myślę, że rodzinny dom ukształtował mnie właściwie, a moja pasja społecznikowska wynika z roli ojca w wiejskiej wspólnoty. Ojciec nigdy nie uległ namowom, żeby zostać sołtysiem, ale bez tego angażował się bardzo w sprawy wspólne. Mnie funkcja sołtysa przydarzyła się sześć lat temu, gdy byłem już na emeryturze. W Drażewie, rodzinnej wsi mojej żony Halinki, mieszkamy od 22 lat w ponadstuletnim drewnianym domu. O powrocie na wieś mówiliśmy od dawna, obydwójce pochodzimy ze wsi. Zarówno w Gdańsku, jak i w Ciechanowie tęskniłem za wsią, miasto nie było moim naturalnym środowiskiem. Udzielałem się na swój sposób, choćby siejąc trawę przed blokiem, ale miasto mnie osaczało. Gdy mój teść przekazał budynki gospodarcze oraz 8 hektarów ziemi swojej córce, uznaliśmy, że to jest właśnie to. Ponieważ jestem w Drażewie „spadochroniarzem”, na początku nie wchodziłem zbyt wiele w lokalną społeczność – uznałem, że ludzie

żyją tu swoim życiem, choć innym niż w mojej rodzinnej wsi.

Dopiero w 2016 r., kiedy po rezygnacji sołtysa (w połowie jego kadencji) zaczęły się rozmowy dotyczące wyboru jego następcy, chodziliśmy na wiejskie zebrania wyborcze i mój nieżyjący już kolega Józek Gburzyński zgłosił moją kandydaturę. Nie chciałem się zgodzić, ale on przekonywał mnie, że „mogą być różne sytuacje, a nam będzie potrzebny mądry sołtys”. Na kolejnych zebraniach zorientowałem się, że mieszkańcy nie wysuwają innych kandydatów, tylko czekają na moją zgodę. Żona także mnie zachęcała, bo przecież stąd pochodzi. Wahałem się, ale w końcu uległem. Zacząłem bywać na sesjach rady gminy. Jako jeden z nielicznych sołtysów zabierałem głos, mówiłem o swojej wsi jako zaniedbanej, m.in. o braku dobrej drogi. Wójt może mnie nie lekceważył, ale też mnie nie wysłuchiwał, najczęściej słyszałem, że „nie można”, „nie tak” itp. Żeby mieć większą siłę oddziaływania na władze gminy, pomyślałem o zawiązaniu stowarzyszenia lokalnych sołtysów. Było to pierwsze na terenie powiatu takie stowarzyszenie – na 37 sołtysów zapisało się 29 osób. Obecnie, po różnych perturbacjach związanych chociażby z pandemią, w stowarzyszeniu jest 15 sołtysów.

Być może jest to także efekt, że stowarzyszenie nie realizuje oczekiwanej przez wielu polityki „bicia władzy”. Uważam jednak, że



*Wizyta władz Starostwa Ciechanowskiego z okazji Dnia Sołtysa*



*Płock – rozmowa z biskupem Piotrem Libera*

władzy lokalnej trzeba pomagać rozsądnie, a toczenie wiecznego boju i ciągle krytykowanie wiele nie dają. Zarówno wójt, jak i rada mają prawo się mylić, ale my mamy prawo reagować. Członkostwo w stowarzyszeniu traktuję jednak jako aktywność poboczną – skupiam się głównie na funkcji, której się podjąłem, czyli byciu sołtysiem. Sołtys powinien myśleć o tym, co w ramach prawa i możliwości da się zrobić dla danej miejscowości, i tego oczekuje od niego społeczność.

Po wyborach nowa rada gminy uznała, że na jakiś czas (teraz już wiemy, że na całą kadencję) zostanie zawieszony fundusz sołecki (15 000 złotych), który wcześniej wypłacano sołtysom w celu ożywienia działalności społecznikowskich. Rada argumentowała ten krok potrzebą gromadzenia środków i realizowania za nie większych celów. Byłem stanowczym przeciwnikiem tego rozwiązania, ale wśród członków stowarzyszenia nie miałem pełnego poparcia. Wysunąłem więc propozycję, żeby

wójt na koniec kadencji wykazał, że z tych „zabranych” pieniędzy w każdej wsi coś zostanie zrealizowane. Wiele wskazuje na to, że tak właśnie będzie. Mnie udało się przekonać władze gminy do wyasfaltowania drogi przez Drażewo. Dziś mamy wprawdzie piękną, dobrą drogę, ale niestety zachęca ona kierowców do nadmiernej prędkości.

Jako sołtys zauważyłem, że moja wieś jest uboga towarzysko, nie ma żadnego miejsca, gdzie moglibyśmy się spotykać. Szkoła, pod budowę której mieszkańcy Drażewa przekazali w przeszłości hektar ziemi, została wsi odebrana, przekazana na mocy (bezmyślnej w mojej ocenie) ustawy gminie i w końcu sprzedana prywatnej osobie. Okazało się, że z tej nieruchomości pozostała działka o powierzchni 25 arów, wydzierżawiona nabywcy szkoły. Postanowiłem o nią zawalczyć, ale poprzedni wójt w ostatnim dniu kadencji przedłużył dzierżawę na kolejne trzy lata. Wróciłem do sprawy po wyborach. Nowy wójt Jarosław Muchowski nie

chciał skrócić okresu dzierżawy, ale uzyskałem od mieszkańców upoważnienie do podjęcia dalszych działań. Uchwałę podpisaną przez 108 osób wraz z pismem zaniósłem do wójta i rady. Sprawa skończyła się skróceniem okresu dzierżawy. Wójt pomógł nam tę działkę ogrodzić. W ubiegłym roku ze środków Marszałka Województwa Mazowieckiego i gminy udało się zbudować domek ogrodowy – naszą „sołtysówkę”. Teren wokół niej zagospodarowaliśmy we własnym zakresie. Mieszkańcy sami kupili krzewy ozdobne i świerki serbskie. Wspólnie dbamy o te nasadzenia.

Teraz życie towarzyskie rozwijamy w oparciu o „sołtysówkę”. W grudniu ubiegłego roku odbyło się w niej pierwsze w historii wsi spotkanie opłatkowe, przygotowane przez nasze panie. Zaproszenie przyjął wójt, który zobaczył efekt naszych wspólnych działań. W tym roku spotkaliśmy się na wielkanocnym „jajeczku”. W tym czasie wójt wyposażył nas w urządzenia zabawowe dla najmłodszych, więc zorganizowaliśmy Dzień Dziecka. Okazało się, że tych najmłodszych mieszkańców jest spora, bo kilkunastoosobowa gromadka. Później zorganizowaliśmy poświęcenie pola. Nie trzeba już było, jak wcześniej, stawiać namiotu, bo nasz domek wystarczył. Od wójta dostaliśmy stoły i ławy, więc spotkania mogą być teraz dość liczne. Dziesiątego września odbyło się późniwe spotkanie sąsiedzkie, przygotowane przez grupę aktywnych mieszkańców. Jestem bardzo zadowolony z ich zaangażowania. Uznałem, że powinienem tym ludziom publicznie podziękować, co uczyniłem na posiedzeniu rady gminy, bo przecież „sołtys tyle może, ile mu wieś pomoże”.

Poza obowiązkami sołtysa wciąż znajduję czas na moje pasje. Jedną z nich jest twórczość poetycka. Studia i praca zawodowa, m.in. funkcja rzecznika prasowego wojewody, wymagały ode mnie operowania piórem. Poezja



*Żeglowanie na jeziorze Niegocin*

to jednak trochę inna sprawa, trzeba mieć odpowiedni zasób wiedzy i doskonalić swój kunszt. Na najniższy poziom poezji wszedłem w czasach studenckich. Chodziliśmy do klubu Harenda, gdzie panował szczególny klimat, bywali tam aktorzy i pisarze. Początkowo tworzyłem okazjonalnie, na serwetkach, ale swoich wierszy nie gromadziłem. Gdy już pracowałem w sejmiku wojewódzkim, spotkałem na ulicy koleżankę ze studiów. Rozmawialiśmy, a ona wyjęła z torebki serwetkę, na której napisałem dla niej wiersz kilkanaście lat wcześniej. Spytała mnie, co robię i czy nadal piszę. Zrobiła mi wyrzuty, że tak marnuję to, co piszę, i poradziła mi zainteresować się stronami internetowymi, na których różne osoby zamieszczają swoje wiersze. Od tamtej pory zacząłem publikować wiersze w serwisie Bej, gdzie można je oceniać. Na początku dostałem lanie od koleżanek i kolegów, że jestem niedojrzały. Zadziałało to na moje ambicje, nie uciekłem z forum, zacząłem oceniać innych i nadal pisałem, pewnie coraz lepiej. Tych wierszy trochę się uzbierało, bo już ich nie niszczyłem. Nie myślałem jednak o wydawaniu tomików wierszy. Przypadek sprawił, że zaproponował mi to śp. Mariusz Górski, syn mojego starszego kolegi Jurka Górskiego, twórcy drukarstwa na terenie ciechanowskim.

Mariusz przydzielił mi do pomocy panią Hanię, która zrobiła tzw. szrotkę drukarską, ja naniósłem poprawki. Pierwszy tomik



#### *Poetycko-dziennikarsko-fotoreporterska debata*

zawierał tylko 50 wierszy, był w małym formacie, prawie kieszonkowym, i nosił tytuł „Zmysłowość”. Odebrałem go w 200 egzemplarzach, ale pół roku czekałem, żeby się nim pochwalić. Zrobiłem to na imieninach mojej żony, 1 lipca – pomyślałem, że wśród swoich krytyka będzie łagodniejsza. Nikt zbytnio na ten mój debiut poetycki nie patrzył, ale później docierały do mnie pozytywne recenzje. Kolejny tomik „Gorzko – słodko” wydałem dopiero 3 lata później, w 2009 roku, w większym nakładzie – 500 sztuk. Mariusz zawsze dokładał od siebie paczkę kolejnych 200. W sumie zbierało się tych tomików już dziewięć, ostatni „Zanim umrą dni” wydałem w tym roku.

Zacząłem brać udział w spotkaniach autor-skich. Pierwszy mój klub sympatyków powstał w Bielsku-Białej, gdzie jestem często zapraszany do placówek kultury (w sumie 5 klubów na terenie miasta). Teraz spotykam się z czytelnikami w Domu Kultury im. Wiktorii Kubisz, na takie spotkania przychodzi nawet kilkadziesiąt osób. Tłem do wybranych przeze mnie utworów jest muzyka fortepianowa wykonywana na żywo przez pianistkę. Niesamowita jest wrażliwość tej artystki na twórczość innej osoby. Dla mnie inspiracją było malarstwo mojego kolegi śp. Stanisława Osieckiego. Między nami była symbioza poetycko-malarska, ubierałem w poezję jego obrazy. Wydając tomiki – ostatnio co roku – podkreślam, że muszę się spieszyć,

ale nie biję rekordów, piszę, kiedy mam taką potrzebę. Moje wiersze są pisane na gorąco, niosą ze sobą to, co się dzieje wokół.

W przeszłości zafascynowało mnie żeglarstwo, zdobyłem uprawnienia sternika (kiedyś obowiązkowe), ukończyłem kurs i praktykę na łodzi trzymasztowej bez kabiny i bez silników manewrowych. Złapałem bakcyła, ale nie mogłem sobie pozwolić na kupno łodzi, były inne wydatki. Pod koniec lat 80. marzenie o własnej łodzi wróciło. W internecie znalazłem łódkę zacumowaną w Iławie na jeziorze Jeziorak. Podobała mi się, bo była to „śmieszka”, drewniana łódź, jedna z 12 wyprodukowanych przez konstruktora z Łodzi, prawie historyczna. Szybko zdecydowałem się na kupno, ku zaskoczeniu właściciela, pana Zenka, który nawet nie był przygotowany na transakcję w dniu oględzin i próbnego minirejsu po jeziorze. Jak się okazało, łodzią interesował się także koneser z Warszawy, który oferował za łódkę dużo wyższą cenę, ale pan Zenek był honorowy i nie wycofał się z transakcji ze mną. Przyciągnęliśmy łódkę do domu, żeby odpowiednio zakonserwować ją poza sezonem.

Za zgodą dyrektora Domu Polonii w Pułtusku zwodowałem ją w ich porcie na Narwi, ale na żaglach nie dało się na tej rzece pływać. Najbliższy był Zalew Zegrzyński, ale tam już było ciasno i niebezpiecznie z powodu wielu motorówek, ścigaczy itp.

Zacząłem szukać miejsca dla mojej łódki w portach, z których można wypływać na żagle. Udało się je znaleźć w Piszcu, ale rzeka Pisa, którą się wypływa na jeziora, jest coraz płytsza i zdarzało się, że nie dało się wypłynąć. Jedenaście lat temu szukałem nowego miejsca, co ze względu na rosnącą popularność żeglarstwa nie jest łatwe. Bardzo podobał mi się port w Wilkasach, ale o tym miejscu mogłem jedynie pomarzyć. Gdy okazało się, że szef portu tak jak ja pasjonuje się żeglarstwem i myślistwem,

zaangażował się, żeby mi pomóc. Dziś mam keję nr 78 w Wilkasach, stamtąd wypływam na różne rejsy, nawet pięciodniowe, np. na jezioro Mamry. W tym roku ze względu na upały wypływaliśmy na rejsy trzydniowe, ale i na krótkie – pod wieczór, gdy robiło się trochę chłodniej, pływaliśmy do późnego zmierzchu. Jest to sport dość kosztowny, ale warto te koszty ponieść dla cudownych chwil na wodzie, w kontakcie z piękną mazurską przyrodą.

Pasją, która zawładnęła mną kilka lat temu, jest motocykl. Marzyłem o nim już dawno, ale wcześniej bardziej potrzebny był mi samochód. Żona próbowała mnie odwieść od tego szalonego według niej pomysłu i nawet wezwwała na pomoc nasze córki, które były gotowe kupić mi nowy samochód, żebym zrezygnował z motocykla. Uważały, że jest on dla mnie zbyt niebezpieczny. Od 9 lat jeżdżę na motocyklu Honda Shadow. Nie szaleję, ale lubię słuchać pracy silnika, podziwiać widoki, nasycać się zapachami np. w drodze do portu w Wilkasach.

Z perspektywy czasu uważam, że moje życie było dobre. Żyłem i żyję w ciekawych czasach, zostawiłem po sobie widoczny ślad, po ulicy mogę chodzić z podniesioną głową, spotykam się z życzliwością, nikt mnie nie przeklina. Mam sympatyczną, kochaną i wyrozumiałą żonę, której na pewno nie jest ze mną łatwo, bo trudno żyje się z duszą artystyczną i społecznikiem. W przeszłości, gdy pracowałem jako rzecznik prasowy wojewody czy jako dyrektor Biura Rady Mazowieckiego NFZ, czy też jako doradca w sejmiku mazowieckim, musiałem być dyspozycyjny, zdarzały się pilne wyjazdy czy zdarzenia, więc nierzadko wracałem późno do domu.

Mamy dwie bardzo udane, mądre córki, które nigdy nie sprawiały kłopotów. Gdy po likwidacji województwa przez 3 lata pracowałem w wiejskiej szkole, uświadomiłem sobie,



*Z żoną Haliną na balu Towarzystwa  
Miłośników Ziemi Ciechanowskiej*

z jakimi problemami wychowawczymi borykają się niektórzy rodzice. Jedynym „problemem”, jaki mieliśmy z córkami, było to, że zbyt rzadko wychodziły się bawić, uwielbiały naukę i książki. Asia i Kasia skończyły studia medyczne, jedna jest internistą, a druga stomatologiem – chirurgiem szczękowym.

Za mężów mają mądrych chłopaków, którym nie było łatwo prosić o rękę moich córek, bo jako tatuś jestem w córkach zakochany. Mam czwórkę wnuków, w tym wspaniałą wnusię – jedynaczkę. Starsza córka mieszka w Milanówku i pracuje w prywatnej klinice w Grodzisku Mazowieckim. Młodsza prowadzi prywatną przychodnię stomatologiczną w Ciechanowie FEDMED i tu mieszka. Jest bardzo zapracowana, ale podobno jest dobrym chirurgiem. Obie córki są wrażliwe na potrzeby innych, myślą o pacjentach i o wykonywanych zabiegach, wiedzą, że ludziom trzeba pomagać. Jako ich ojca napawa mnie to dumą.

Przyjemność i satysfakcję sprawia mi to, że społeczność w której żyję powoli ukierunkowuje swoje myślenie i działanie na cele wspólne, bo robiąc coś dla wszystkich, robimy to przecież także dla siebie.

Wspomnień wysłuchała  
*Ewa Gładysz*

## ZEBY TAK SYR BUŁ, JAK MASŁA NI MA...

Niedaleko Ciechanowa leży wieś Dzbonie, nie gorsza ani lepsza od innych w powiecie, za to słynąca w okolicy z pierogów. Coś niezwykłego z nimi związanego i raczej wesołego musiało się niegdyś w Dzboniach wydarzyć, skoro ten smakołyk trwale związał się z miejscowością. Dziś trudno uzyskać odpowiedź na pytanie, na czym polega specyfika „dzbońskich pierogów”. Ścierają się dwie opcje. Starsza utrzymuje, że były one wielkie ponad miarę, twarde i niesmaczne. Przeciwnicy z kolei wnoszą pod niebiosa kulinarny kunszt dzbońskich gospodyń i walory smakowe ich pierogów. Barbara Bielasta – piewca regionalnej historii – tak rozpoczyna swój opis Dzboni: *Są wsią dość znaną, a to dzięki dzbońskim pierogom. To chyba pierwsze skojarzenie, jakie nasuwa się okolicznym mieszkańcom. Nikt nie wie dokładnie skąd się wzięły, ani jakie były: z mięsem, z kapustą, z serem. Ale o samych pierogach ludzie wiedzą sporo. Były duże, skoro zawijano je kłonicą. Niektórzy dodają, że były tak duże, że w wiejskim stawie je gotowano. Jak gospodyni szła na targ do Ciechanowa, oczywiście pieszo, to taki pieróg na całą drogę jej wystarczył. Inni przekonują, że i na podróż do Warszawy był w sam raz. Widać, że jedna opowiastka nakręcała następną, a mieszkańcy Dzbonia nazywani przez złośliwców „pierogami” butnie odpowiadali prześmiewcom<sup>1</sup>.*

Wielu mieszkańców Ciechanowa pytanych o dzbońskie pierogi powielало informacje przekazane przez panią Barbarę, innym znane jest jedynie powiedzenie. Nic więcej o pierogach nie

<sup>1</sup> B. Bielasta, Ciechanowskie notatki; <https://ciechanowskienotatki.pl/dzbonie/>



Anna Flis z Dzboni



Pierogi z serem Anny Flis z Dzboni

potrafili powiedzieć, może jedynie to, że miały być wielkie. Niektórzy twierdzą, że ważyły co najmniej kilogram, a do zlepienia dzbońszczenie używali nie tylko kłonicy, ale i specjalnej formy, którą ponoć Niemcy zarekwirowali w czasie wojny, utopili w stawie i ślad po niej zaginął.





Pani Helena Kawecka z Ciechanowa lepi wigilijne uszka z grzybami



Pierogi z jagodami Heleny Kaweckiej

Nieco światła na temat dzbońskich pierogów rzucają opowieści najstarszych mieszkańców tej wsi z 2019 roku. Jan Leszczyński z twarzą rozpromienioną figlarnym uśmiechem relacjonował: *Takich pierogów jak u nas to nie robili nigdzie w okolicy. Podobno były kiedyś wielkie i z serem. Opowiadali ludzie, że jak chłopci z Dźbonia szli na piechtę do miasta, to nie jedli w domu śniadania, tylko zabierali na drogę pieroga. Doszedł taki jeden z drugim do miasta, a jeszcze pieroga nie skończył. Doszli na rynek, a nawet nie dogryźli się do twarogu, który zjedli w mieście. Pozałatwiali*



Dzbonie – za chwilę degustacja pierogów

*swoje sprawy, pieroga starczyło im jeszcze na drogę powrotną do Dźbonia a z tego, co z niego zostało, to jeszcze pies budę miał. Słuchająca w skupieniu opowieści sąsiada Jadwiga Jaroszewska dodała: A ja znam jeszcze inną opowiastkę. Jeden chłopak przed laty ożenił się z panienką z Baczy. Ona była jedynaczką i gospodarka była na nią, to chłopak po ślubie przeniósł się do do Baczy. Ten chłopak strasznie lubił jeść pierogi, ale ani młoda żona, ani teściowa nie mogły mu dogodzić, bo nie umiały takich ugotować, jakie robiła jego mamusia, bo oni tam w Baczach to przeważnie kluchy i kluchy tylko jedli. Jak temu młodemu gospodarzowi przyszła ochota pojeść dobrych pierogów, to leciał do matki i krzyczał do żony, że idzie „na pirogi do Dźboni”. I tak się przyjęło w okolicy, że do Dźboni chodzi się na pierogi. Bo w Dźboniu kobiety zawsze gotowały bardzo smaczne pierogi z serem albo z jagodami.*

Tadeusz Malinowski z Przążewa pytany o dzbońskie pierogi wyraził najpierw swoją dezaprobatę do dykteryjek o formowaniu ich za pomocą kłonicy i gotowaniu w stawie, po czym przytoczył historyjkę: *Mówią o nich różnie, takie, nie takie. A podobnież było to tak. Ludzie z Dźboni chodzą do kościoła do Opinogóry. Dla starych ludzi iść pieszo to daleko. Jakaś babina, jak się wybrała do kościoła to wzięła sobie pierogów na drogę, bo kiedyś starzy ludzie długo w kościele modlili się jeszcze po mszy. I w kościele jej te pierogi z zawiniątka wyleciały. A ludzie jak*

to ludzie, zaczęli wołać: *O! dzbuńskie pierogi, dzbuńskie pierogi! I tak to powstało, znaczy się powiedzenie. A w Dzboniach robią teraz pierożki małe, normalne, smaczne jak wszędzie. Ale kiedyś podobno to były takie jak dłoń. Żadna opowieść nie mówi, czy chodzi o pierogi gotowane czy pieczone, a właśnie te drugie mogą leżeć u podstaw analizowanej dykteryjki. Na święta doroczne, zwłaszcza Nowy Rok i chrzciny dziecka w zamożnych domach m.in. w Trzciance, Szulmierzu, Ościślowie i w okolicach Pułtusza wypiekano niegdyś drożdżowe bułeczki nadziewane serem. Były wielkości dłoni, a nazywano je ... pierogami. Od takich bułeczek droga do dzbońskich pierogów jest już prostsza. Jeżeli były pieczone z mąki żytniej, nie były smaczne, ale na pewno oryginalne.*

Dykteryjki o dzbońskich pierogach mogły narodzić się w podobnych okolicznościach, jakie towarzyszyły przed laty smażeniu pączków pewnej kobiecie. Smaczne, pulchne pączki potrafiła usmażyć gospodyni biegła w sztuce kulinarnej, ważna była także jakość składników, bo same chęci nie wystarczały. Efekty zmagania z tym wyzwaniem bywały czasami upokarzające. Pewna pani w jednej wsi nie mająca żadnego doświadczenia w tej dziedzinie, postanowiła uraczyć w karnawale rodzinę pączkami. Ten poryw kulinarny relacjonował mąż, przeklinając i śmiejąc się na przemian: *Kuchnia je mać! A niech to wszyscy djabli! Ta moja kobita to już chyba całkiem zgłupiała. Zachciało jej się latoś pączków napic. Nu i napięła. Niech jej jasno cholera weźmie z jej pączkami! Wsadzisz to do pyska, zęby połamiesz. A jakby tak cisnął w kogo, toby jak nic łeb rozwałił albo i łoko wybił.* Podobne nieszczęście mogło wydarzyć się przed laty jakiejś gospodyni w Dzboniach, która zamiast smacznych pierogów upichciła twarde gnioty. Zapewne nie uszło to uwagi zazdrosnym a złośliwym sąsiadkom, które rozpuściły jadowite języki opowiadając dookoła, jakie to

specjały gotuje się w Dzboniach.

Pierogi z porzekadła dały przewisko mieszkańcom wsi, których sąsiedzi nazywali (obecnie już rzadko) „pirogami”. W przeszłości miało to wydźwięk wybitnie pejoratywny i było powodem awantur oraz bijatyk. Szczególną okazję stwarzały zabawy taneczne, w czasie których dochodziło do pyśkówek i rękoczynów, jak to między krewkami kawalerami we zwyczaju bywało. Niejeden złośliwiec rzucający w czasie utarczki pod adresem chłopaków z Dzboni to wyjątkowo obraźliwe w ich mniemaniu przewisko, liczył później siniaki po razach zadanych pięściami i kopniakach otrzymanych w rewanżu bądź lizał rany zadane sztchetami wyrwanymi z płotów. Fama głosi, że za nazwanie kogoś w Dzboniach „pierogiem” można było wracać do domu nie tylko z siniakami, ale i z brona tkwiącą w plecach. Zdarzało się ponoć, że chłop przejeżdżający wozem przez wieś ze złości lub zwykłej przekory obrzucił kogoś z miejscowych tym drażliwym przewiskiem. Musiał jednak



Wigilijny barszcz z uszkami



Pierogi z makiem Barbary Sarnowskiej



Pierogi ruskie Heleny Gburzyńskiej



Pierogi z mięsem cioci Leosi



*Sebastian Stefański właściciel restauracji Kaczka Dziwaczka w Ciechanowie demonstruje ugotowane przez siebie pierogi*

w te pędy zacinać konia i uciekać, leciał bowiem z nim grad wyzwisk i kamienie.

Mieszkanka z sąsiedniej wsi relacjonowała: *Na ludzi z Dźbonia mówiło się, że to „pirogi”, albo „dźbońskie pierogi”. Bo tu u nas w okolicy każda wieś miała swoją ksywkę. Na tych z Baczy mówiło się „bacoskie kluchy” albo wprost „kluski”. W Kątach mieszkali znowu „piłaty”, na Pomorzu „sagany”, w Rąbieżu „siekiery”, itd. Dawniej to dużo ludzi jeździło autobusami do Ciechanowa. Jak się wracało z roboty i autobus miał zatrzymać się na przystanku, to kierowca albo ludzie w autobusie krzyczeli czasem: „pirogi wysiadać”. Jedni nic nie mówili albo się śmieli, ale niektórzy to się obrażali, pyskowali i wersalu wtedy nie było. Nie wiem skąd to się wzięło, bo w Dźboniach kobiety gotowały zawsze dużo dobrych pierogów i Dźbonie z pierogów słynie. Różne były te pierogi, ale najwięcej gotowało się z serem.*



*Kamil Łopacki z Kaczki Dziwaczki demonstruje rumiane pierogi z kaczką*

Pierogi pojawiły się w kuchni wiejskiej Mazowsza stosunkowo niedawno. Do przygotowania ciasta niezbędna jest pszenna mąka, która była trudno osiągalnym luksusem. Do wyrobu mąki w wiejskiej chałupie i drobnoszlacheckim dworku służyły żarna. Z grubej, ościstej mąki razowej, nawet dwukrotnie przepuszczonej przez żarna można było piec jedynie podpłomyki, ciemny chleb razowy, gotować gęste breje, kluski i żur. Chłop pańszczyźniany i niejedyn zagrodowy szlachcic był szczęśliwy, mogąc zapewnić dostatek takiej mąki rodzinie przez cały rok. Pszenną mąkę na białe pieczywo i słodkie kołaczki jadane od święta kupowano we młynie. Sytuacja zmieniła się po uwłaszczeniu i rewolucji w wyposażeniu chałupy wiejskiej, jaką zapoczątkowało stosowanie kuchni angielskiej z zamkniętym paleniskiem na ruszcie oraz płytą z otworami zakrywanymi fajerkami.

To urządzenie razem ze zmodernizowanym piecem piekarskim dało możliwość rozwoju talentów kulinarnych. Łatwiej już było wtedy o dobrą jakościowo mąkę pszenną i żytnią. Zanikały żarna, ludność wiejska korzystała powszechnie z usług wiatraków, młynów wodnych, później spalinowych i elektrycznych.

Dzisiaj wydaje się, że pierogi w Polsce jadało zawsze. A jak było w przeszłości? Pierogi gotowane i pieczone z różnym nadzieniem były charakterystyczną potrawą dla kuchni kresowej, w Polsce centralnej spopularyzowały się w czasach zaboru rosyjskiego. Co ciekawe, do czasu przybycia repatriantów ze Wschodu po 1945 roku pierogów nie znano na wsi na Śląsku, w zachodniej Wielkopolsce i Pomorzu, czyli na terenach byłego zaboru pruskiego. Jeszcze w latach międzywojennych były nieznane w co bardziej zapadłych rejonach Kurpiowszczyzny. Pierogi uchodziły za potrawę „z wyższej półki”. Były często niedzielnym daniem obiadowym, bo tego dnia kobiety miały więcej czasu na ich lepienie. Powszechnie jadano na Mazowszu pierogi z białym serem, a sezonowo także z czarnymi jagodami. Nadzienie serowe dosmaczano cukrem lub solą oraz miętą, podawano z kwaśną lub nieco rozwodnioną i ocukrzoną śmietaną. Pierogi z serem jadałi także ludzom przy sianokosach i w czasie wielu prac wiosennych. Po ostatniej wojnie w jadłospisie wiejskim popularność zyskały także pierogi gotowane lub pieczone z innym nadzieniem. Przyczyniły się do tego liczne kursy gotowania oraz przepisy rozpowszechniane przez książki kucharskie i czasopisma kobiece. Ostatnimi czasy handel oferuje gotowe pierogi. Stoiska garmazeryjne w sklepach zalane są wyrobami, które wystarczy wrzucić do wrzątku, ale prawdziwi koneserzy szukają pierogów ręcznie lepionych ze sprawdzonego źródła.

Ich walory smakowe zna dziś całe Mazowsze i wiele kuchni regionalnych. Były jednak



*Pierogi z perliczką, Kaczka Dziwaczka*



*Pierogi z gęsiną w szafranowym rosolu, Kaczka Dziwaczka*

czasy, kiedy Polacy pierogów nie jadałi ani o nich nie słyszeli. Nasi przodkowie poznali je dzięki kontaktom z Rusianami, których potomkowie nazywani są dziś Ukraińcami. Na Ruś dotarły prawdopodobnie wraz z najazdami mongolskimi. Wielu badaczy historii kulinariów doszukuje się ojczyzny pierogów w Chinach, różne ich rodzaje znają ludy Azji Środkowej, Kaukazu i Turcji. Można tu wymienić chociażby chińskie *dim sum* i *won ton*, środkowoazjatyckie *manty* i *czuczwara*, gruzińskie *chinkali*, tureckie *manti*, znane z zagranicznych wojaży i wizyt w rodzinnych etnicznych restauracjach. Azjatyckich przodków mają popularne w kuchni wschodnich sąsiadów *wareniki* i *pielmieni*, a stąd już prosta droga do litewskich *kołdunów*, pierogów i *krepleh* Żydów aszkenazyjskich. Na wschodnich terenach Polski popularne są także pierogi pieczone, a wśród nich na szczególną uwagę zasługują karaimskie i tatarskie *kybyny* oraz wschodniosłowiańskie *knyszę* i *kakory*.



Pierogi ruskie, zajazd Zakątek Smaku w Hucie



Pierogi staropolskie z kaszą jaglaną i kurczęciną,  
zajazd Zakątek Smaku w Hucie

Słowo pieróg nie oznacza jedynie kawałka rozwałkowanego ciasta nadzianego farszem, gotowanego lub pieczonego. To także nazwa ciasta drożdżowego, pieczonego w formie placka lub rolady nadziewanej farszem mięsny, rybnym, serowym lub warzywnym. Jest to potrawa charakterystyczna dla Słowian wschodnich oraz polskiej kuchni kresowej. Na Podlasiu słowo to oznacza także rodzaj pszennego białego chleba, wypiekanego na święta doroczne i ważne uroczystości rodzinne. Wg starych legend pierogi w Polsce miał spopularyzować św. Jacek Odrowąż, dominikanin żyjący w latach 1183-1257. Prowadził działalność misyjną w Kijowie, a po powrocie do Krakowa w latach głodu miał karmić ubogich pierogami. Nie wiadomo, jakie były te świętojackowe wyroby, czym nadziewane, gotowane czy pieczone. Mówi się jednak, że w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy, przysłowia są mądrością narodów, a kilka przysłów

związanych jest ze św. Jackiem i pierogami, m.in.: *Święty Jacku z pierogami, módl się za nami!*; *Zmiłuj się św. Jacku z pierogami!*; *Wygląda jak św. Jacek z pierogami*<sup>2</sup>.

Jedną z najstarszych informacji o pierogach na naszych ziemiach pochodzi z 1586 r. i związana jest ze środowiskiem lwowskich Ormian polskich. W pamiętniku Marcina Grunewego - Niemca praktykującego długie lata u kupców ormiańskich we Lwowie czytamy, że tamtejsi Ormianie co sobota gotowali małe pierożki nadziewane serem doprawionym jajkiem i koperkiem, zaś Polacy i Rusini gustowali w dużo większych pierogach, nadziewanych serem doprawionym orientalnymi przyprawami i rodzynekami. Gruneweg urzeczony smakiem potrawy pisze, że pierogi uratowały mu życie. Będąc obłożnie chorym w czasie pobytu w tureckim Adrianopolu, nie mógł nic jeść. Groziła mu śmierć głodowa i wówczas przyszło wybawienie, odwiedził go anioł z ... pierogami. Relacja M. Grunewego brzmi: *Wspomniane pyrogi są przez Ormian tak przygotowywane: biorą świeży ser z krowiego mleka o średniej wilgotności, który nie jest ani zbyt twardy, ani zbyt miękki, ale taki, co ma w sobie trochę tłuszczu i kwaśności. Następnie rozcierają go w misce z jednym lub z dwoma roztrzepanymi jajkami, aby był mniej gęsty i lepiej się dał formować, także dodają do tego trochę soli i posiekany zielony koperek, rozcierają tę masę tak, żeby nie została żadna grudka. Następnie robią ciasto trochę słone, z jednym lub trzema jajkami, całkiem twarde. Gdy ciasto jest gotowe, walcują je w formie kielbaski, którą następnie kroją w klocki, a klocki te lub pokrojone kawałki spłaszczają wałkiem na gładkiej stolnicy, którą do tego celu trzymają. Wałkowane kawałki formują w krążki większe niż talar (moneta), ale cieńsze. Następnie kładą krążek na środku dłoni i wkładają na niego nożem przygotowany*

<sup>2</sup> S. Adalberg, *Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich*, Warszawa 1889-1894.

ser, zlepiają razem tak, by do środka nie dostało się wody. Gdy wszystko jest gotowe, ma kształt półksiężyca i nazywa się pyrog. Gdy te pierogi są gotowe, wrzuca się je wreszcie na patelnię (lub do garnka) do wrzącej wody i gotuje się jak ryby, szybko na dobrym ogniu. Wkłada się je chochlą do ogrzanej miski, kładzie się na nie tu i tam świeże masło w małych kawałeczkach, żeby się same z siebie mogły roztopić, a następnie się je. [...] Polacy i Rusini sądzą, że je lepiej gotują, ale są dużo gorsze, chociaż przyrządzane z większym zachodem i kosztami. Rozcierają i tłuką oni ser w ucieracze z jajkami, szafranem, kwiatami muszkatu, mieszają małe rodzynki, robią pierogi cztery razy większe, odsączają wodę tak, aby nie pozostała ani kropla i wylewają na nie rozpuszczone masło, tak że pierogi prawie w nim pływają. Ormianie natomiast kładą tylko dwa kawałeczki, żeby pierogi można było wyciągnąć łyżką, a masło jest lekko rozcieńczone z wodą; jeśli się zje nieco tłustego mleka lub wedle upodobania kwaśnego, będą lepiej smakować.<sup>3</sup>

Takie lwowskie wyroby dały początek pierogom z nadzieniem serowo-ziemniaczanym, nazywanych ruskimi. Nazwa nie ma nic wspólnego z Rosją a pochodzi od Rusi, jak nazywano w przeszłości Ukrainę, a jej mieszkańców Rusinami (Rosjan nasi przodkowie nazywali Moskalami). Ukraińcy rewanżują się Polakom i te same pierogi dla odmiany nazywają polskimi. W XVII stuleciu pierogi były już u nas popularne, przede wszystkim w kuchni dworskiej i mieszczańskiej. W najstarszej polskiej książce kucharskiej *Compendium ferculorum* autorstwa Stanisława Czarnieckiego z 1682 r. pierogi wymienione są kilkakrotnie. Autor podaje przepis na gotowane pierożki z nerką cielecą, smażone lub pieczone pierożki drożdżowe z *konfektem bżowym*, zalecając także inne słodkie nadzienia z powideł, jabłek, gruszek i maku, daje także

<sup>3</sup> Z pamiętników Marcina Grunewega, „Awedis”, 2010/5, s. 16.



Pierogi z grzybami i kapustą,  
restauracja City Park w Ciechanowie

ramową recepturę na pieczone pierożki we francuskim cieście: ... z Takiegoż Ciasta robić będziesz Pierożki jakiegokolwiek. Confekt zawijaj w ciasto, a formuy Pierożki jakie chcesz abo umiesz, pozynguj żółtkami, upiecz a day pocukrowawszy na stol.<sup>4</sup>

Z tego okresu pochodzą też receptury na gotowane i pieczone pierogi anonimowego kucharza litewskiego. Oprócz gotowanych, nadzianych farszem ze słodzonego sera i żółtek, proponuje on także pierogi z twarogiem w maśle *male*, czyli miniaturowe gotowane pierożki, podane w polewce przyrządzonej z gruszek smażonych w maśle z winem, doprawionej cukrem, anyżem i cynamonem. Intrygujący jest przepis na pierogi na liściu grzybowym z twarogu pieczone z ciasta drożdżowego. Gotowe ciasto wylewano po trochu na liście kapuściane, na każdym kładziono łyżkę twarogu i zwijano. Pierogi zawinięte w kapuściane liście wsuwano do pieca. Po upieczeniu usuwano resztki liści, które odciskały w cieście fantastyczne desenie. Na półmisku takiego pierogi winny być obficie podlane masłem.<sup>5</sup> W 1783 r., sto lat po pierwszym wydaniu *Compendium ...* Czarnieckiego, ukazało się ważne dzieło dotyczące sztuki kulinarnej - *Kucharz doskonały* Wojciecha Wielądka. Książka poświęcona

<sup>4</sup> S. Czarniecki, *Compendium ferculorum, albo zebranie potraw*, Lwów 1757, s. 108-108.

<sup>5</sup> J. Dumanowski, *Pierogi po litewsku*, Pierogi po litewsku (wilanow-palac.pl).



*Bogusia Mikołajczak właścicielka Qbatury z Ewelina Stępkowską i Mariolą Mróz*

modnej wówczas kuchni francuskiej nie zawiera żadnych przepisów na pierogi, które z kuchnią francuską nie mają nic wspólnego. Wielądko uznał jednak potrawę za ważną i umieścił o niej wzmiankę w umieszczonym na końcu dzieła „słowniku kuchennym i spiżarnianym”. Pod hasłem pierogi znajduje się taki tekst: *Pirogi - rozmaitym sposobem pirogi robią się, z sera słodkiego, pirogi leniwe, inne w cieście zawijane, alboli i też w piecu pieczone lub z mięsa wieprzowego, wołowego, tłustego siekanego, dobrze zaprawne.*<sup>6</sup>

Siedemnastowieczne źródła pisane wymieniają prawie wyłącznie pierogi nadziewane serem, rzadziej owocami. Wielądko wymienia także leniwe i nadziewane farszem mięsnym. Wiele przepisów na różne pierogi i pierożki podają dopiero późniejsze książki kucharskie i poradniki dla gospodyń, licznie wydawane w XIX wieku. Przez dziesięciolecia na kulinarne gusty Polek ogromny wpływ miało

<sup>6</sup> W. Wielądko, *Kucharz doskonały*, Warszawa 1783, s. 445.

wydawane wielokrotnie kompendium Lucyny Ćwierciakiewiczowej *365 obiadów za pięć złotych*, do którego chętnie sięgają i współczesne gospodynie. Słynna autorka podała receptury na różne pierogi. W rozdziale poświęconym potrawom z wołowiny są to pierożki z mięsem, proponuje również nadzienie z powideł, konfitur, jagód czarnych lub wiśni z zaznaczeniem, że pierogi z farszem owocowym powinny być ulepione z nieco grubszego ciasta. Do pierogów owocowych należy podawać śmietanę i cukier. W rozdziale poświęconym potrawom mącznym są przepisy na gotowane pierogi z serem, powidłami i grzybami, dalej pierogi ruskie - ale nie te powszechnie znane, lecz pieczone z ciasta drożdżowego z farszem mięsnym, rybnym, z kapusty słodkiej lub kiszanej.<sup>7</sup>

Na smakołyki lansowane przez przytoczonych autorów mogli sobie pozwolić jedynie ludzie zamożni. Chłopską tęsknotę za tymi przysmakami wyraża żartobliwe przysłowie

<sup>7</sup> L. Ćwierciakiewiczowa, *365 obiadów za 5 złotych*, Warszawa 1860, s. 57-58, 91-93, 146.



Pierogi z kapustą, restauracja Qbatura



Pierogi słoneczne z twarogiem, restauracja Qbatura



Mix pierogów, restauracja Qbatura



Pierogi ze szpinakiem, restauracja Qbatura

z okolic Opinogóry, umieszczone w tytule artykułu: *Zeby tak syr był, jak masła ni ma, mąki przypozycuł, a kury się narościły, dopiru by pirogów nogotował.* W tradycyjnej kuchni chłopskiej na północnym Mazowszu trwale miejsce zyskały jedynie pierogi z serem i z jagodami. Z czasem na wigilijnym stole zaczęły pojawiać się pierogi z kapustą i grzybami, uszka do czerwonego barszczu, a w okolicach Ciechanowa także pierogi z makiem.

Życie uczy, że więcej jest amatorów jedzenia smacznych pierogów, aniżeli ich lepienia i gotowania. Gdzie zatem w Ciechanowie i okolicach szukać miejsc, w których można zjeść smaczne pierogi? Wybrańcy losu będą się nimi delectować w rodzinnych lub zaprzyjaźnionych domach. Mniej szczęśliwym pozostają stoiska gastronomiczne, które czasami potrafią pozytywnie zaskoczyć. Na szczególną uwagę zasługują moim zdaniem dwa lokale w Ciechanowie, tzn. „Kaczka Dziwaczka” i „Qbatura”. W „Kaczce” szef kuchni aktualnie poleca

m.in. doskonały rosół szafranowy z pierogami nadziewanymi gęsina, rumiane pierogi w sosie z borowików nadziewane farszem z kaczego mięsa i pierogi z perliczką. W menu Qbatury Cafe przy ul. Kilińskiego nie ma wprawdzie pierogów, ale można się nimi uraczyć w Qbaturze - Saloniku przy ul. Narutowicza, gdzie oferowane są domowe obiady. Bywają tu pierogi z serem, ruskie i z mięsem, ale szczególnie uśmiech na twarzy wywołują pyszne pierogi z kapustą, skąpane w tłuszczu ze skwareczkami. W Qbaturze okazjonalnie odbywają się festiwale pierogów, w czasie których restauracja oferuje gościom miłe, różnorodne niespodzianki smakowe.

Dzbońskich pierogów jednak nigdzie nie uświadczysz, ani małych, ani wielkich. Szkoda wielka, że nie można skosztować takich frykasów, które mogłyby stać się kulinarną wizytówką powiatu ciechanowskiego.

*Tomasz Czerwiński*